

**RUTH JEAN DALE**

**Fajerwerk miłości**

*(Fireworks!)*

*Przełożył Marek Zakrzewski*

## PROLOG

*St. Louis, Missouri,  
pierwszy tydzień czerwca*

W tak zwanej prywatnej jadalni „Starej Gospody z Wszelakim Jadłem i Wyszynkiem” – jak to obwieszczał szyld – dwaj starsi panowie oddzieleni marmurowym blatem stołu spojrzeli na siebie nieufnie. Nie żywili do siebie przyjaznych uczuć, niemniej łączył ich wzajemny szacunek. Osiemdziesięcioczeroletni Thom T. Taggart z rancza Rocking T. w Teksasie i John Hayslip Randall Czwarty, lat siedemdziesiąt jeden, z bankierskiej rodziny Randallow w Bostonie, spotkali się z powodów od nich niezależnych.

– Halo, Taggart!

– Halo, Randall! Podali sobie ręce.

– Jak tam młody Jesse James? – spytał ironicznie John Randall, wydymając lekko patrycjuszowską wargę. Odsunął od stołu antyczne krzesło, strzepnął z niego wymaginowany pyłek i usiadł.

Thom T. położył na stole teksański kapelusz z doskonałego filcu i przecesał dłonią niesforne białe włosy. Wzrok mu pociemniał.

– Nie popuścisz, John, co? – Stary hodowca bydła z wściekłością opadł na fotel. – Grzecznie ci jednak odpowiem: mój wnuk czuje się doskonale, a czułby się jeszcze lepiej, gdyby tylko ta twoja pannica...

– Wypraszam sobie jakiegokolwiek krytykowanie mojej wnuczki. Meg robi, co może. To wcale niełatwo samej wychowywać dziecko... – urwał, jakby sobie zdał sprawę, że własnymi słowami potwierdził, iż jego wnuczka wcale nie jest doskonała. Odchrząknął i poklepał się po kamizelce ciemnego eleganckiego garnituru.

– Wychowuje mego prawnuka sama, bo tak chciała – nie przepuścił Thom T. – bardzo jej to źle idzie.

Randall poczerwieniał.

– Chłopiec bywa czasami... niezdyscyplinowany, ale ma przecież dopiero siedem lat.

– Ja tam nie mówię o żadnej dyscyplinie – odburknął Thom T. – Lubię mocne charaktery i niesforne duchy. To bardzo dobrze, kiedy chłopak robi dużo szumu. Młody czy stary. Ale niestety ten chłopak... – Starszy pan westchnął i potrząsnął głową. – Przykro mi to mówić o moim z krwi i kości prawnuku, ale z niego robi się wymoczek.

– Szanowny pan posuwa się za daleko! – John uderzył pięścią w marmurowy blat. Thom T. aż podskoczył. – Ten chłopak jest mi oczkiem w głowie. Od nikogo nie zniosę podobnych obelg!

– Ani to obelgi, ani ja nie jestem nikt. Tylko spójrz na chłopaka, a od razu spostrzeżesz, że to bardziej Taggart niż jakiś tam Randall. A jeśli chodzi o oczko w głowie, to ja tego chłopca bardziej kocham niż, niż... – Thom T. przerwał, poszukując w pamięci odpowiedniego superlatywu dla określenia właściwego stopnia pradiadycznej miłości. – Ja kocham tego chłopca bardziej niż cały cholerny stan Teksas – dokończył wreszcie.

John otworzył szeroko usta i jeszcze szerzej oczy.

– W takim razie – odparł biorąc się w garść – mogę założyć, iż na ten szczyt rodzinny przybyłeś w dobrej wierze, mając na sercu wyłącznie interes chłopaka.

Thom T. energicznie to potwierdził.

– Co do tego możesz się założyć o ostatnią koszulę, John. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wyjaśnić status ojca chłopaka. Zbyt długo ojciec nie wie, co wybrać, owies czy siano.

– Przepraszam, że co? Owies czy siano?

Wzrok Thoma T. był pełen politowania dla miejskiego cepra.

– Ani jedno, ani drugie – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Nie jest

żonaty i nie jest nieżonaty. Ta twoja panna rzuciła go... kiedy to było? Cztery lata temu? Pięć?

– Zawsze byłem przeciwny temu małżeństwu, wiesz o tym dobrze...

Thom T. prychnął uznając ten niewątpliwy fakt.

– ...Niemniej przyznaję, że miejsce żony jest przy boku męża. – John ściągnął usta.

– Zaraz, zaraz, bądźmy sprawiedliwi dla twojej panny – odezwał się Thom T. – Nie zawsze się wie, gdzie będzie się akurat kręcił jeździec rodeo. A towarzyszyć mu jest jeszcze trudniej. – Thom T. wyraźnie nie chciał, by John Randall wydał się bardziej wyrozumiały. – Inna sprawa, że Jesse ma już trzydzieści dwa lata i dość w tym wieku kowbojowania na rodeo. Może by i zrezygnował, gdyby miał do czego dobrego wracać do domu.

– Meg nigdy się nie podobał ten jego zawód.

– Mało której mężatce się podoba. Tylko niezamężne na to lecą, aż im oczy na wierzch wylażą.

Obaj panowie pokiwali głowami, zgodni co do tego faktu. Zapadła cisza. Wreszcie John przerwał ją z pewnym wahaniem:

– Chyba jest za późno na wskrzeszanie ich małżeństwa?

– Chyba za późno – zgodził się Thom T. – Nie jestem za rozwodami, ale czasami nie ma innego wyjścia.

– Rozwód! – powiedział z niesmakiem John. – W rodzinie Randallów od kilku pokoleń nie było rozwodu. A może i nigdy przedtem też nie było.

– Co ty mówisz? – powiedział Thom T. – Mimo że twoi przodkowie przyjechali na tym statku „May-flower” z pierwszymi emigrantami? – W niewinnym tonie pytania kryły się kolczaste intencje.

John spojrział złym wzrokiem na Thoma T.

– Dla Randy’ego rozwód byłby w efekcie lepszą rzeczą niż takie coś... pół rodziny. Chłopiec potrzebuje ojca...

– No, przecież od początku ci to mówię! – wykrzyknął Thom T.

– Powiedziałem, że chłopak potrzebuje ojca, ale niekoniecznie tego, który dał mu życie. Jeśli Jesse i Meg nie są zdolni zapewnić chłopcu rodzinnych warunków, to Meg powinna się ruszyć i znaleźć kogoś, kto będzie chłopakowi ojcem.

Thom T. głośno wciągnął powietrze. Był bliski wybuchu, ale się opanował.

– Chłopak bardzo cierpi z powodu braku ojca – przyznał. – Potrzebni mu mama i tata na pełen etat.

– Zgoda. Na nieszczęście mama i tata Randy’ego nie mogą przebywać nawet paru minut w jednym pokoju, żeby nie wszcząć zaraz wojny domowej gorszej od tej, którą już mieliśmy.

Obaj starsi panowie długi czas milczeli. Łączył ich wspólny smutek. Po pewnym czasie Thom T. podniósł głowę i przemówił:

– Jaka szkoda, że nie możemy ich na mur zamknąć w jednym pomieszczeniu jak dwa żbiki i niech tam klaki sobie wydzierają, aż się zmęczą i pogodzą.

Po tych słowach nastąpiła znowu cisza, ale inna, jakby pełna objawionej prawdy. Po chwili John wyprostował się.

– Kto wie! Może przypadkowo trafiłeś na właściwą receptę. Kto wie! Jeśli tylko ten twój wnuczek zgodzi się na kooperację...

– Kooperację! Nie to słowo. Mówimy o zwykłym szantażu.

– No, powiedzmy, że o pewnego rodzaju przymusie. Szantaż to strasznie brzydkie słowo.

– A nazywaj to sobie, jak chcesz, mój drogi. Ja sobie poradzę z Jesse’em, ale nie widzę sposobu, w jaki ty byś okiełznał na potrzebny czas tę swoją pannicę.

– A ja widzę. Postraszę, że skreślę jej pensję z funduszu

powierniczego.

– Zrobiłbyś to, jakby zaczęła wierzgać?

– Nie tylko to, ale dużo więcej. Ale nic się nie bój, nie będę poddany próbie. Ty natomiast nie masz równie potężnego argumentu, jeśli Jesse James nie zechce cię posłuchać.

– To prawda, że finansowego bicza nie mam

– Thom T. pochylił się konfidencjonalnie. – Jesse i Boone dostali już swoje, kiedy ich rodzice zginęli. – Thom T. chytrze się uśmiechnął. – Mam natomiast jednego asa w zanadrzu...

– No gadaj, co! Mówże, człowieku!

Thom T. jednak się nie spieszył. Zniecierpliwienie Johna sprawiało mu wyraźnie przyjemność.

– Mogę mu zagrozić, że sprzedam Rocking T. John wydawał się bardzo rozczarowany tym wyjaśnieniem.

– I to miałyby wystarczyć? – spytał z niedowierzaniem?

– O tak, Jesse aż się pali do tego rancza i dostanie je, kiedy się przeniosę na łono Abrahama. Nikt inny w rodzinie nie jest tak zainteresowany Rocking T. A jego brat to już całkiem nie.

I znowu zapadła dłuższa cisza, po której John Randall pochylił się do przodu i powiedział poufnie:

– Z tego może coś wyjść.

– Musi wyjść. Nie ma innego sposobu, jeśli o tych dwoje chodzi.

– Thom T. przechylił głowę i powiedział niemal zaczepnie: – Ale poleć pióra! Fajerwerk będzie nie lada.

John zlekceważył to ostrzeżenie wzruszeniem ramion.

– No cóż, wyjątkowa sytuacja wymaga zastosowania wyjątkowych metod. Ale powiedz mi, gdzie...

– Oczywiście tam, gdzie spędzili miodowy miesiąc. W teksańskich górach. Daleko, daleko do reszty świata. Z wyjątkiem jednej małej miejsciny.

– Z tego co pamiętam, to oni chyba jeszcze nigdy tam nie wrócili.

– Nie. Ale pewno aż kipi tam od pięknych wspomnień. – Thom T. mrugnął porozumiewawczo. – Z tej twojej pannicy to marna żona, ale dziewczyna jest ładna, przyznać trzeba.

– Może zamówimy obiad i przejdziemy do omawiania szczegółów – zaproponował John z surową powagą. – Zamierzam jeszcze dziś wieczorem lecieć do Bostonu.

– Dobra myśl. No to zadzwoń na kelnera. John uczynił to.

– Podają tutaj doskonałe steki – oświadczył swym zwykłym pompatycznym tonem.

– Być może, być może. Chociaż steków to my mamy dość w Teksasie. Więc ja sobie zamówię coś, co zamawiam zawsze, kiedy jestem w St. Louis.

– A co takiego?

–W tym mieście mają tylko jeden łuk, a nie dwa jak w reklamie McDonalda, ale kiedy widzę ten łuk w St. Louis, to zawsze mam ochotę na hamburgera.

*San Felipe, Kalifornia,  
drugi tydzień czerwca*

Jesse James Taggart trzymał się ile sił górnego prętu ogrodzenia, wlepiwszy wzrok w dziko rzucającego się konia o złowrogo brzmiącym imieniu: Wdowirób. Dookoła wznosiły się tumany pyłu, z nieba lał się żar, uszy drażnił hałas i jazgot rodeo, ale Taggart był myślami bardzo daleko. Ta kobieta ma tupet. Na mnie zwała winę ponieważ nie może sobie poradzić z Randym! Nieświadomie klepnął się w kieszeń kraciatej koszuli, gdzie schował list. Rozpieszcza chłopaka. Był tego absolutnie pewien. Randy potrzebuje silnej ręki i od czasu do czasu staromodnego, ale niezawodnego w takich przypadkach lania. Chłopak potrzebuje ojca. Roztargniony rzucił okiem przez ramię. Ruda wielbicielka, która niestrudzenie wszędzie za nim podążała, stała sobie nie opodal z uśmiechem na twarzy. Jesse coś tam jeszcze mruknął i szybko odwrócił wzrok od głębokiego dekoltu.

– Za żadne skarby! – powiedziała zaciągając zachodnim akcentem. – Nie skłoniłbyś mnie nigdy, żebym wsiadła na takiego dzikusa. – Mrugnęła porozumiewawczo dając do zrozumienia, że dałaby się skłonić do innych wyczynów.

Jesse przełknął ślinę i skupił uwagę na tym, co go za chwilę czeka. A to wszystko też jest winą Meg, pomyślał ze złością. Spojrzał na rudowłosą. Łatwiej byłoby człowiekowi podrapać się w ucho łokciem, niż przekonać takie kobietki, że obrączka, którą nadal nosi, jeszcze coś znaczy...

– Uważaj J. J.!

Usłyszał ostrzeżenie w chwili, gdy rozjuszony Wdowirób uniósł łeb i wspiął się na tylnych nogach. Przez ułamek sekundy wzrok człowieka skrzyżował się z końskim. W spojrzeniu zwierzęcia było

ostrzeżenie dla zuchwalca, który będzie na tyle głupi, że spróbuje go dosiąść.

– Cieszę się, że to ty masz na nim siedzieć, a nie ja – powiedział jeden z kowbojów usiłujących utrzymać zwierzę. – W jego oczach widzę zapowiedź czegoś niedobrego.

Jesse pochwyił mocno skórzaną rączkę umocowaną na pasie zapiętym tuż za łopatkami ogiera. Opuścił się na grzbiet konia i muskularnymi nogami objął mocno koński grzbiet. To jeszcze bardziej rozsierdziło Wdowiropa. Jesse warknął:

– Jestem już za stary na takie szaleństwa.

– Aleś znalazł moment na spowiedź. – Pomagający mu kowboj wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jesse był wściekły. Ależ Meg wybrała sobie czas! Właśnie teraz musi go zawiadamiać, że nie daje sobie rady z Randym i do tego projektować oddanie chłopca do jakiejś prywatnej szkoły. Randy nie potrzebuje żadnej tam szkoły z internatem, tylko silnej, ale i kochającej dłoni. Usłyszał swoje nazwisko:

– ...J. J. Taggart z San Antonio w Teksasie, były kontynentalny czempion, wyjedzie z boksu piątego. Dosiada Wdowiropa, a ogier zasłużył na to imię... ha, ha! Już z niejednej żony zrobił wdowę!

W czasie tej zapowiedzi Jesse doszedł do ostatecznego wniosku, że nadszedł już czas, aby włączyć się w całą sprawę. Randy to przecież także jego syn. Bramka boksu stanęła nagle otworem. Wdowirób rzucił się jak szalony. Zatopiony w myślach Jesse został w pełni zaskoczony. Wytrzymał jedynie dwa wściekle skoki rozszalałego rumaka i znalazł się na ziemi. Leżał oszołomiony. Usiłując złapać oddech czuł, że boli go wszystko, najmniejsza nawet kosteczka. Jak się ma trzydzieści dwa lata, pomyślał, to już się nie uprawia takiego sportu. Otworzył oczy i ze zdumienia zamrugał parę razy. Na ogrodzeniu areny ujrzał uczeponą drewnianego prętu, niby

sęp, pochyloną ku niemu, znajomą sylwetkę. To niemożliwe! Cóż by w Kalifornii robił jego dziadek, Thom T. Taggart? Dziadek nienawidził samolotów. Latał, kiedy już nie było innego wyjścia. Jesse podniósł się, ukląkł w pyle areny podpierając się dłońmi. Potrząsnął parę razy głową, jakby to miało pomóc mu odzyskać jasność myślenia, która mu będzie zaraz bardzo potrzebna, jeśli to jest rzeczywiście Thom T. Jeden z klaunów towarzyszących imprezom rodeo pochylił się nad Jesse'em:

– Wszystko w porządku?

Jesse półprzytomnie skinął głową. Klaun klepnął Jesse'a po plecach i fiknął koziołka ku uciesze zgromadzonej publiczności. Jesse raz jeszcze spojrzął na ogrodzenie. Nie miał już wątpliwości – to był Thom T. Siedział sobie na drewnianym pręcie i przywoływał Jesse'a zakrzywionym palcem. Diaboliczny wyraz twarzy dziadka wskazywał, że coś się święci.

*W tym samym prawie czasie,  
na drugim skraju kontynentu w Bostonie,  
stan Massachusetts*

Margaret Randall Taggart, czyli Meg, usiłowała skupić rozproszone myśli. Zbyt długo już trwało nudne wystąpienie pani Felicity Holliwell na temat przyszłych korzyści z nowego oddziału dziecięcego szpitala. Meg udostępniła bostońską rezydencję dziadka na zebranie komitetu budowy nowego szpitalnego skrzydła. Z tej właśnie okazji zjawiała się szóstka miejscowych dam-społecznic.

Meg żałowała swojego gestu dobrej woli. Cel był oczywiście bardzo chwalebny, niemniej Margaret Randall Taggart miała obecnie na głowie ważniejsze sprawy. Na przykład ten telefon w zeszłym tygodniu. Od Jesse'a. Jak on śmie ją krytykować!

Felicity właśnie na nią patrzyła i Meg zareagowała bladym bezosobowym uśmiechem, nadal rozmyślając nad swoimi sprawami. Jak to łatwo krytykować na odległość. Randy nie jest żadnym tam maminsynkiem i mięczakiem, jak to sobie wyobraża Jesse. Zdecydowanie nie!

– A więc zgadzasz się, Meg? – usłyszała pytanie Felicity.

Meg powróciła do otaczającej ją rzeczywistości. Pojęcia nie miała, o czym mowa, niemniej mechanicznie skinęła głową. Felicity można zaufać, nie tak jak wielu innym, pomyślała.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że mogę liczyć na ciebie. – Felicity rozpromieniła twarz w uśmiechu. – Jestem pewna, że będziesz wspaniale przewodniczyć sekcji prasowej. Musimy dotrzeć do ogółu. Geoffrey bardzo się ucieszy.

Geoffrey! Meg zdusiła w sobie jęk. Szpitalny szef od kontaktów z prasą był ostatnią osobą, z którą chciałyby mieć cokolwiek do czynienia. Ten człowiek zalecał się do niej. Tak! Z początku myślała,

że to tylko złudzenie, ale kiedy w ubiegłym tygodniu dopadł ją w magazynie pościelowym na czwartym piętrze szpitala... O, nie, to nie była imaginacja.

Przecież jestem mężatką, myślała z oburzeniem. Obrączkę noszę nie dla zabawy...

– A teraz potrzebny jest ktoś, kto zgodziłby się zająć sekcją artystyczną. Chodzi o dekoracje. W ubiegłym roku Meg tak wspaniale to zorganizowała, że trzeba będzie wiele wysiłku, by jej dorównać – oświadczyła Felicity. – Szukamy ochotniczki...

Do saloniku wbiegł Randy, stając jak wryty na widok zgromadzonych tam pań.

Piegowata buzia siedmiolatka była wyraźnie skrzywiona. Meg знаła ten wyraz twarzy i chcąc uniknąć nieprzyjemnej sytuacji odezwała się szybko:

– Chodź tu, kochanie, przywitaj się z paniami, a potem idź się jeszcze trochę pobawić. To już nie potrwa długo.

Randy wysunął dolną wargę.

– Cześć, cześć! – powiedział nie patrząc nawet na osoby, które w ten sposób rzekomo witał. – Mam już dość czekania, mam. Muszę ci coś powiedzieć...

– Jak tylko skończymy, kochanie. Idź do kuchni i powiedz Tess, żeby ci coś dała na jeden ząbek. Powiedz, że ja pozwoliłam. – Tylko nie powtarzajmy tej sceny ze śniadania, dodała w myślach.

Felicity chrząknęła z dezaprobatą.

– Tak jak mówiłam... – zaczęła.

– Nie chcę żadnej głupiej kanapki od głupiej Tess! Ja chcę ci teraz coś powiedzieć! – przerwał Randy, którego piegowata buzia zrobiła się nagle czerwona jak burak. Szare oczy ciskały błyskawice. Wykapany ojciec!

Skręcając się wewnątrz ze wstydu Meg obróciła się ku

paniom z komitetu. Gotowa była ścierpieć starcia z synem w cztery oczy, ale nie tolerowała jego publicznych wyskoków. Przenigdy!

– Przepraszam na chwilę – odezwała się. – Proszę dalej prowadzić zebranie. Zaraz wrócę.

Podeszła do Randy’ego, mocno chwyciła go za ramię, aby chłopiec zrozumiał, że to nie żarty.

– Chodź do gabinetu dziadka. Zaraz porozmawiamy.

– Zmieniłem zamiar. Nie chcę rozmawiać. – Wyrwał się. – Powiedz mi tylko, czy dostaję ten nowy rower, czy nie?

Ten temat był już wielokrotnie poruszany. Randy doskonale wiedział, że odpowiedź brzmiała: nie. Być może chłopcu przyszło do głowy, że jeśli zapyta o to przy obcych, to matka ulegnie.

Z wielkim wysiłkiem woli zachowała ten sam wyraz twarzy i zbliżyła się o krok do dziecka. Randy cofnął się szybko, aby nie mogła go pochwycić.

– To nie miejsce ani czas... – zaczęła.

– Ja nienawidzę tego starego roweru, który dostałem na urodziny. To rower dla dzieci.

– A więc przestań się zachowywać jak dziecko – powiedziała ostrym tonem. Jesse twierdził, że Randy jest rozpaskudzony, rozkapryszony. Tak uważa? Zobaczmy! Utkwiła wzrok w chłopcu. – Szanowny pan w tej chwili stąd wyjdzie! Ale już. I proszę czekać na mnie w gabinecie dziadka.

Przez chwilę Randy wahał się. Meg miała nadzieję, że posłucha. Poczula ulgę. Ale niestety!

– Nienawidzę cię! – wykrzyknął, zaciskając dłonie w pięści. – Jesteś sknera. Wcale mnie nie kochasz!

Meg poczuła absolutną bezradność wobec nowej sytuacji. Może Jesse ma rację? Randy jeszcze nigdy podobnie się nie zachowywał.

Chciała go schwycić, ale chłopiec wykręcił się piruetem, stracił

równowagę i uderzył mocno w marmurowy postument, na którym stała oszklona gablota z jednym ze skarbów dziadka – wazą z dynastii Ming. Gablota zsunęła się na skraj postumentu, zachwiała i spadła. Rozległ się trzask tłuczonego szkła i porcelany, wzbogacony chóralnym okrzykiem przerażenia obecnych w salonie dam.

I w tej właśnie chwili w drzwiach salonu pojawił się John Hayslip Randall Czwarty.

– Witam panie! – powiedział z godnością, chyląc czoło, a następnie spojrzał na obraz zniszczenia. Wzrok jego stężał.

– Nie wiedziałam, dziadku... – zaczęła Meg oblizując wyschnięte wargi – że już wróciłeś z podróży. Mały wypadek... bo Randy...

Rozejrzała się. Randy umknął drugimi drzwiami.

Dziadek uśmiechnął się cierpko i skinął na Meg tak, aby nie widziały tego zebrane w salonie kobiety.

– Żegnam panie! – powiedział z galanterią i wyszedł z salonu. Meg bezgranicznie zawstydzona poszła za nim. Jednak głowę trzymała wysoko podniesioną.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tablica umieszczona przy wjeździe do miasteczka obwieszczała: „Czarcie Dzwony, miłych mieszkańców i paru starych zrzedów”.

Meg zwolniła. Po raz pierwszy zobaczyła tę zwariowaną tablicę przybywając tu zaraz po ślubie. Była zachwycona nowiutkim mężem i nowym życiem.

Jakież to wydawało się teraz odległe, jakże dawno temu! Stała koło stacji benzynowej funkcjonującej przy spożywczym sklepiku na samym początku dość krótkiej głównej ulicy. I jedynej zresztą. Nieco dalej znajdował się jedyny bar Czarcich Dzwonów o śmiesznej nazwie „Baru Niższych Form Życia”. Tuż za nim był samochodowy zajazd z hamburgerami. Chociaż tu nazywały się teksasburgerami, a sam zajazd nosił miano „Gospody pod Samotną Gwiazdą”, bo tak popularnie nazywano Teksas.

Powróciły wspomnienia. Meg usiłowała je stłumić. Wysiadła z wozu i weszła do sklepiku. Podeszła do oszklonej szafy chłodniczej i wyjęła puszkę lemoniady. Nawet nie wiedziała, co wzięła, i nic ją to nie obchodziło. Podeszła z puszką do lady, za którą stała może czterdziestoparoletnia kobieta o piegowatej twarzy i szerokim serdecznym uśmiechu.

– Dzień dobry – powiedziała. – Czym mogę pani służyć?

– Halo! – odezwała się Meg i też się uśmiechnęła. – Czy ma pani jakieś gazety poza miejscowymi? Chciałam kupić „Boston Globe”.

– Chyba nie – odparła kobieta, a wydawała się jeszcze bardziej wesoła niż przed chwilą. Zupełnie, jakby Meg przywiozła jej dobre wieści. Wybiła cenę puszek lemoniady na sklepowej kasie, przyglądając się dyskretnie waniliowego koloru spodniom Meg i lnianemu zakietowi.

– Przyleciała pani do San Antonio? – spytała. – Tak – odparła

Meg przeliczając otrzymaną resztę.

– Może jedzie pani na to ranczo dla turystów nad Czarcia Rzeką?

– Nie miałam pojęcia, że takie ranczo jest tu w okolicy.

– Jest takie ranczo, a jakże. Dość już dawno otworzył je Joe Bob Brooks. Z tego, co słyszę, dobrze mu nawet idzie. Dawniej nazywało się Ranczo B.

– Wiem, wiem, gdzie jest ranczo Brooksów – odparła Meg. Po chwili pożałowała ostrości tonu, ale nazwisko Brooks budziło złe skojarzenia. Na znak pożegnania uniosła w górę puszkę.

– Ooo! – Kobieta nie dawała za wygraną. – Jestem Laurel Anderson, jeśli pani odwiedza... Zaraz! Ja przecież panią znam! – Aż podskoczyła z podniecenia.

– Pani jest żoną Jesse’a Taggarta?

Meg przełknęła z trudem ślinę.

– Skąd pani...?

– No bo przed paroma dniami był tu Thom T., żeby jakoś zagospodarować dom. Zaopatrzył go w jedzenie, a nawet sprowadził konie. Inaczej Jesse by nie przyjechał, prawda? – Pani Anderson roześmiała się i wyszła w ślad za Meg w teksański żar.

– Założę się, że pani i jej przystojny mąż przyjeżdżacie na poprawiny miodowego miesiąca. – Kobieta mrugnęła porozumiewawczo. – Jakie to romantyczne!

Meg zdobyła się na enigmatyczny uśmiech. Laurel Anderson zatrzymała się pod markizą, na skraju cienia.

– Z pewnością się zobaczymy na święcie Czwartego Lipca?

– Zupełnie możliwe – odparła Meg, obdarzając gadatliwą kobietę skinięciem dłoni.

Od samego początku myślała z niechęcią o przyjeździe do Teksasu, a teraz będąc blisko celu miała wręcz ochotę zawrócić na pięcie i odjechać z powrotem. Mogłaby złapać najbliższy samolot z

San Antonio do Bostonu. Chyba dziadek nie spełni groźby i nie pozbawi jej pensji z funduszu powierniczego?

Właśnie co do tego istniały poważne wątpliwości. Nie było natomiast wątpliwości co do innych spraw. Randy! Zupełnie nie wiedziała, jak sobie z nim dalej radzić. Nie wystarczy kochać dziecko. Potrzebna jej była pomoc. Z drugiej strony bała się odstąpić jego ojcu częśćką rodzicielskiej władzy.

Ten Jesse...! Zaciśnęła usta. Była przygnębiona. Chociaż dość często rozmawiała z nim przez telefon, nie widziała go od ponad dwu lat. Czy nadal miał ten zniewalający czar? Czy też okaże się, że zareaguje na niego jeszcze gorzej niż na Geoffreya, którego dłonie kojarzyły się jej z mackami ośmiornicy.

Letniskowy dom Taggartów znajdował się w ostrym łuku Czarciej Rzeki, około dziesięciu kilometrów od Czarcich Dzwonów. Aby tam dojechać, musiała najpierw minąć bramę zwieńczoną sztyldem, który obwieszczał: „Gościnne Ranczo nad Czarcią Rzeką, będące własnością Boba Brooksa”.

Po raz ostatni widziała Joego Boba podczas któregoś z rodeo, w którym brał udział z Jesse'em. Joe i Jesse byli najlepszymi przyjaciółmi i Jesse nieraz wyciągał Joego z najróżniejszych kłopotów.

Z początku Meg nawet lubiła Joego. Natomiast on jej nie znosił od początku, okazując to w rozmaity sposób. Jesse tego nie dostrzegał. Kiedy mu parokrotnie o tym mówiła zaraz po ślubie, wzruszał ramionami i mówił, że Meg ma chorobliwą wyobraźnię.

Wszystkie te wspomnienia bardzo ją rozstroiły. Wjechała na polanę, na której stał letni dom Taggartów. Nie będzie łatwo nie ulec Jesse'owi, chyba że się radykalnie zmienił. Musi być czujna i opanowana.

Natychmiast go dostrzegła. Obnażony do pasa, dźwigał właśnie

gigantyczny pal, by wsadzić go w wykopany świeżo dół. Widać było potężne, napięte mięśnie ramion i pleców. Meg mimo woli zadrżała.

Nawet bosy Jesse James Taggart miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, w kowbojskich butach natomiast górował nad całym otoczeniem.

Meg przeciągnęła językiem po wyschniętych wargach i zmusiła się do spojrzenia w bok. Gasząc silnik pomyślała sobie, że trzeba skoncentrować myśli na poważniejszych sprawach.

Dziadek wyraźnie określił, czego od niej oczekuje:

– Ty i Jesse jesteście parą upartych osłów. Zbyt upartych, by sobie podać ręce i wrócić do siebie, i zbyt upartych, by zdecydować się na rozwód. Zaparliście się, kto kogo przetrzyma. Czyniecie wielką krzywdę swojemu synowi. Masz dojść do porozumienia z Jesse'em Jamesem Taggartem, zanim wrócisz do Bostonu. Albo rozwód, albo normalne małżeństwo.

Czyniecie wielką krzywdę swojemu synowi! Ogarnęło ją wielkie poczucie winy. Czy była dla Randy'ego złą matką? Dawna pewność siebie ustępowała, rodziły się liczne wątpliwości. I dlatego właśnie uległa woli dziadka. Dla dobra Randy'ego gotowa była zrobić wszystko.

I tak zresztą rysował się poważny konflikt między nią a Jesse'em na temat szkoły Pickerella dla Młodych Dżentelmenów. Czekwałyby ją długie miesiące przykrych rozmów telefonicznych i niesłuchanie nieprzyjemnych targów, by uzyskać zgodę Jesse'a. Ale przecież ta szkoła to wspaniała rzecz dla Randy'ego. Olbrzymia szansa. Chyba Jesse to zrozumie? Bez względu na wady, jakie można było przypisywać Jesse'owi, jedna rzecz wydawała się pewna: kochał bardzo Randy'ego i miał na względzie jego dobro.

I była to chyba jedyna zaleta, jaką mogła przyznać swojemu mężowi. Westchnęła głęboko. Gdyby tylko Jesse nie był takim

samotnikiem, gdyby nie popełniał tylu błędów w życiu! I przy tym wszystkim był nadal wspaniały.

Kiedy zobaczyła jego twarz, serce podskoczyło jej do gardła. Zupełnie tak samo, jak przed ośmiu laty, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Wówczas to on znajdował się w obcym środowisku i otoczeniu – na narciarskim szlaku w Aspen. Teraz był w swoim żywiole.

Zdjął z palika sfatygowany teksański kapelusz z wielkim rondem i wsadził go sobie na głowę. Zanim ruszył w kierunku Meg, zagarnął jeszcze z ogrodzenia kraciatą koszulę.

Stała przy samochodzie. Czekwała. Jak mysz, która patrzy na zbliżającego się kota.

Jesse zatrzymał się w odległości paru metrów. Bezwiednie zdjął przeпоcony kapelusz i przedramieniem odsunął mokry kosmyk, który opadł mu na czoło. Potem włożył z powrotem kapelusz. W końcu naciągnął na siebie koszulę. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z Meg.

Aż szkoda zakrywać ten piękny tors, pomyślała. Płaski brzuch, ani grama tłuszczu. Same mięśnie. Jakże dobrze знаła dotyk jego skóry, gęstość jego...

– Powinieneś się ostrzec – powiedziała ni stąd, ni zowąd i odwróciła głowę, gdyż nie mogła się dłużej opanować. Falą napłynęły wspomnienia...

– Ale ty na pewno nie – odparł głosem, którego od ponad dwu lat nie słyszała, jeśli nie liczyć zniekształcających wszystko rozmów telefonicznych. Ten głos! Przeszył ją dreszczyk. Zawsze uważała, że Jesse ma wyjątkowo podniecający głos. Uspokój się, powiedziała sobie. Nie daj się wciągnąć w pułapkę.

– Co chcesz powiedzieć? – rzuciła przez ramię, idąc w stronę bagażnika hondy.

– Obciąłaś włosy. – W jego tonie wyczuła zarzut niemal wiarołomstwa.

Prawie z poczuciem winy musnęła dłonią krótkie, jedwabiste loki, ale złapała się na tym i natychmiast opuściła rękę.

– Obciąłam je przed ponad rokiem. Bardzo to się wszystkim podoba. – Z naciskiem wymówiła słowo „wszystkim”.

Stał tuż obok niej, aby wyręczyć ją w otworzeniu bagażnika.

– Takie były przedtem ładne. Długie, miękkie i... – zająknął się.

Ich spojrzenia spotkały się i Meg wiedziała, że Jesse też sobie w tej chwili przypomniał, jak to rozpościerała włosy na poduszce niby jedwabny błyszczący szal.

– Na szczęście ich nie ufarbowałam – powiedział sucho.

– A dlaczegoż bym miała to zrobić? – spytała sięgając po neseser. – Bardzo mi odpowiadają kasztanowate, chociaż wiem, że masz pociąg do blondynek.

– Co ty znowu pleciesz! – obruszył się. – Gdzież to ja...? – Wyprostował ramiona, podniósł głowę. Przymrużył oczy i mruknął przez zaciśnięte zęby: – To nie ja. To blondynki mają skłonność do mnie.

Meg odliczyła bezdźwięcznie do pięciu, zanim odezwała się sztucznie łagodnym głosem:

– Wcale mnie to nie dziwi. – Z neseserem w rękę obróciła się na pięcie i poszła w kierunku domu. Była niestety tak rozdygotana, że postawiła walizeczkę na ziemi i głęboko wciągnęła powietrze udając, że się rozgląda. Po chwili powiedziała przez ściśnięte gardło:

– Dom się nic nie zmienił.

– Dom się nic nie zmienił. Zmieniliśmy się tylko my – odparł Jesse.

Nie zaprotestowała. Skupiła uwagę na niewielkim budynku z sosnowych bali.

Budowę rozpoczął prapradziadek Jesse'a w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia! Wkrótce potem Taggartowie przenieśli się z całym dobytkiem o blisko trzysta kilometrów na północ, na rancho Rocking T., ale nie sprzedali tego skrawka ziemi w pętli Czarnej Rzeki.

Z początku była tu tylko jedna izba. Jedna sypialnia. Kolejne pokolenia dodawały dalsze pomieszczenia. Kiedy Meg przyjechała tu przed ośmiu laty podczas miodowego miesiąca, były tu już trzy sypialnie, kuchnia, przy niej wnęka jadalna oraz salonik.

Jej miodowy miesiąc! Nie będzie teraz tego wspominała. Ani teraz, ani już nigdy w przyszłości. Chwyciła swój skórzany neseser, wbiegła dwa stopnie na ganek i pchnęła drzwi wejściowe.

Zatrzymała się tak nagle w progu, że Jesse omalże na nią nie wpadł. Zignorowała wymamrotane przeprosiny i oświadczyła zdecydowanym głosem:

– Zajmuję frontową sypialnię.

– Ja już tam jestem – odparł. – Możesz sobie wziąć tę największą.

– Mam spać w dużej sypialni? – Podniosła brwi.

– Ty powinienes ją zająć. Jesteś przecież właścicielem domu.

– Nie bądź niemądra – odparł. – Przyjechałem tu pierwszy i mam prawo wyboru. Wybrałem frontową sypialnię. Ty weź główną.

– Nie. Zajmę tę od podwórka. – Meg ruszyła w głąb domu.

– Już raz powiedziałem: nie bądź niemądra. Ta od podwórka jest wielkości komórki, a poza tym...

– Zdecydowałam! – przerwała. Staneła przed zamkniętymi drzwiami i spojrzała wyzywająco na Jesse'a.

– Ale przecież... – bąknął.

– Tak będzie! Koniec dyskusji. – Właściwie wcale nie chciała małej sypialni. Po prostu odmawiała zajęcia tamtej, w której spędzili

miodowy miesiąc.

– Nie będę się sprzeciwiał woli szanownej pani – odparł, uśmiechając się ironicznie.

Jesse otworzył szeroko drzwi. Spojrzała i odwróciła się na pięcie. Została pokonana. Nie zamieszka w tym pokoiku. Łóżka nie było, a na jego miejscu stały jedna na drugiej puszki z farbą. Obok leżał stos pędzli, arkusze dykty wspierały się o ścianę. Resztę przestrzeni zajmowało wiele innych materiałów budowlanych.

– Co tu się dzieje!

– Właśnie nic. A więc, co teraz wybierasz: główna sypialnia czy razem ze mną...

Zrobiło się jej gorąco.

– Zamień się ze mną, Jesse! Bardzo proszę.

– Nie ma mowy.

– Ale ja nie chcę...

– A ty myślisz, że ja chcę? – W jego oczach zapłonął dziwny ogień. – Myślisz, że tylko ty jedna walczysz ze wspomnieniami?

– A czy ja mówiłam o jakichś wspomnieniach? – Wyprostowała się dumnie.

– No to spójrz mi w oczy i zaprzecz! I tak nie uwierzę. A zresztą co mnie to obchodzi. Wcale nie chciałem tu przyjeżdżać. Nasze dwa staruchy tym razem przeszły same siebie.

– Nie nazywaj mojego dziadka staruchem! – Meg dumnie przeparadowała przez hol do głównej sypialni. Wielkie łóże na czterech rzeźbionych kolumnkach stało pod ścianą.

Jesse odstawił dwie walizki na pleciony dywanik przed drewnianym bujanym fotelem.

– Nie próbuj mnie tylko przekonywać, że przyjechałaś z własnej nieprzymuszonej woli – powiedział.

– Oczywiście, że nie. – Zaczęła rozpakowywać neseser i

ustawiać kosmetyki na toaletce.

– Czymże to John cię skłonił?

– Zagroził cofnięciem pensji z funduszu powierniczego. A czym cię zaszantażował Thom T.?

– Zagroził, że sprzeda ranczo Rocking T. i przeprowadzi się do jakiegoś osiedla starców na Florydzie.

Meg roześmiała się, widząc ponury wyraz twarzy Jesse'a.

– Chyba mu nie uwierzyłeś?

– Może bym i nie uwierzył, gdyby Boone nie wtrącił się do całej sprawy. Zaczął namawiać gorąco, by Thom T. to wreszcie zrobił. On go już namawia na to od dawna. Uważa, że staruszek nie powinien się dłużej bawić w kowboja. To jego słowa.

– Twój brat ma dużo racji. Spojrzał na nią lodowato.

– Mój kochany braciszek mieszka sobie w Londynie i nie ma zielonego pojęcia o tym, co się tutaj dzieje. Powinien trzymać buzię na kłódkę i zajmować się swoimi sprawami. Powiedziałem mu to.

– Czy zdecydowałeś się ratować Rocking T. przedtem czy potem?

– Potem – uśmiechnął się bezradnie. Zdjął kapelusz i rzucił nim w stronę łoża. Kapelusz wylądował na rzeźbionym słupku.

Zupełnie tak, jakby Jesse długo taki rzut ćwiczył. Bo i ćwiczył podczas ich miodowego miesiąca... Meg zacisnęła pięści.

– Bardzo proszę – odezwała się ściśniętym głosem.

– Jeśli to już ma być mój pokój, to chciałabym zostać sama.

Spojrzał spod zmarszczonych brwi.

– Skłamałem – oświadczył wyzywającym tonem.

– Nie przyjechałem tu wcale z powodu Rocking T. Przyjechałem z powodu Randy'ego. Ty myślisz, że skazałbym się na pobyt tutaj, gdyby nie powodowała mną miłość?

A więc przyjechał z tych samych powodów co i ona! Gdy

wyszedł, wpatrywała się przez długi czas w zamknięte drzwi, usiłując zdusić owo przedziwne uczucie wywołujące przyspieszone bicie serca. Bała się przyznać samej sobie, że pragnie Jesse'a. Tego się obawiała jadąc tutaj.

Dość nieprzytomnie poruszała się po pokoju. Niemal bezwiednie rozłożyła przybory toaletowe w łazience i rozwiesiła ubrania w garderobie obitej cedrowymi deskami. Każdy ruch i każda decyzja przychodziły jej z wielkim trudem. Jeszcze trudniej było opanować wzburzone myśli. Przez parę minionych lat potrafiła zagłuszyć w sobie wszelkie próby analizy porażki ich małżeństwa. Teraz jednak stało się jasne, że póki przebywa w tym domu, nie przestanie myśleć wyłącznie o tym.

W oczy biła prawda, której poprzednio nie dostrzegała, nie chciała dostrzec, a mianowicie, że z Jesse'em absolutnie nic jej przedtem nie łączyło oprócz uczucia miłości. Żadne wspólne zainteresowania.

Kręcąc się po pokoju sięgnęła po kapelusz zawieszony na słupku łóżka. Patrzyła na przepocony biały filc teksańskiego nakrycia głowy i bezwiednie przycisnęła go do piersi. Serce skoczyło jej do gardła. Jakby dotykała samego Jesse'a.

Wpadła w panikę. Cisnęła kapelusz daleko od siebie, w kąt sypialni. Kapelusz lecąc musnął blat toaletki, coś przewrócił, to coś spadło na ziemię. Uklękła i podniosła kapelusz. Pod nim leżała odwrócona ramka i rozbite szkło. Ostrożnie, by się nie skaleczyć, podniosła ramkę i spojrzała na zdjęcie.

Ślubna fotografia. Pamiętała tamten dzień, jakby to było wczoraj. Kamera uchwyciła chwilę, gdy Jesse i Meg wpatrywali się w siebie z zachwytem.

Znali się wówczas dopiero dwa tygodnie. Meg pocieszała się wielokrotnie myślą, że to i tak cud, iż ich małżeństwo przetrwało

tylę, ile przetrwało. Nigdy nie sądziła, by mogła stać się pierwszym i głównym elementem jego życia. Ona trwała przy swoich wschodnich obyczajach, on przy zachodnich i żadne z nich nie potrudziło się, by osiągnąć jakiś rozsądny kompromis oparty na symbiozie obu kultur.

On jej właściwie nigdy nie potrzebował. Gdy wróciła do wschodnich stanów, on za nią nie pojechał. Ani po nią. Było to bardzo bolesne.

Mijały minuty, a ona zamyślona wciąż klęczała na ziemi pochylona nad fotografią, usiłując uporządkować myśli. Jak wyjść z tej sytuacji?

Zastanawiała się też, dlaczego Jesse nosi jeszcze ślubną obrączkę.

O szóstej Jesse zapukał do drzwi.

– Kolacja gotowa – obwieścił.

Odłożyła czytaną książkę. Ściślej rzecz ujmując: trzymaną w rękę książkę. Nie przeczytała ani słowa. Wyszła niechętnie z pokoju.

Jesse stał za ladą, która oddzielała kuchnię od kącika jadalnego. W rękę trzymał szklany dzbanek.

Meg podeszła do stołu i odsunęła sobie krzesło.

– Jakie proponujesz menu? – spytała. – Bażanta po królewsku? Kurę duszoną z ziołami?

Jesse przyniósł dwie szklanki. Jedną postawił przed Meg.

– Nic z tego, co wymieniłaś – odparł. – Dostaniesz prawdziwe teksańskie jedzenie. – Wrócił do lady, na której czekały dwie miski.

– Aż się boję spojrzeć – powiedziała Meg i pociągnęła spory łyk. – O Boże! – wykrzyknęła. – Osłodziłaś herbatę!

– No więc co? Właśnie taką lubię. – Postawił przed nią miskę z pionowo sterczącym widelcem. – Fasola z kiełbaskami – obwieścił z dumą. – Delektuj się!

Mogła się była domyślić. Cóż mógł podać innego. Jesse nie znał

się na kuchni, nie potrafił jej docenić, nie umiał gotować. W duchu przyznała, że ona też nie umiała gotować. Różnica polegała na tym, że ona знаła swoje braki, on natomiast nie.

Otwierał puszkę, wyjmował coś tam z zamrażarki i podgrzewał w kuchence mikrofalowej. Wystarczało mu to, co można było rozsmarować na suchym krakersie albo włożyć między dwie pajdy chleba.

To, co właśnie przygotował, spełniało wszystkie te warunki. Otworzył puszkę z fasolką, rozmroził kiełbaski i obie te rzeczy potem połączył.

Zaczął jeść z wielkim apetytem. Po dłuższej chwili podniósł głowę i zmarszczył brwi.

– Słuchaj, no, moja miła! Kiedy ty gotujesz, wybierasz, co chcesz i robisz, co chcesz, ale teraz... – Odłożył widelec, jak gdyby stracił apetyt.

Meg przez chwilę czuła się winna zepsucia mu posiłku. Wyjęła z miski swój widelec i skoncentrowała uwagę na dwu fasolkach wbitych na jego zęby.

– Tak, to prawda, masz rację – odparła. – Po prostu jestem... zaskoczona. Nie jadłam tego od czasu...

Urwała i zaczęła jeść. Oboje byli świadomi, od jakiego to czasu Meg nie próbowała podobnej kuchni.

– Wcale niezłe – odezwała się po chwili.

– Myślisz, że mogłabyś to polubić? – spytał. – Nie.

Uśmiechnęli się oboje, napięcie zelzało. Meg wylała swoją osłodzoną herbatę do zlewu, szklankę napełniła wodą

– Ale myślę, że byłabym zdolna nieco lepiej znosić twoje gastronomiczne dziwactwa – przyznała wracając do stołu. – Aby ponadto dowieść mojej dobrej woli, przygotowuję jutro rano śniadanie.

Jesse aż się oparł o krzesło, taki był zdumiony. Meg pomyślała,

że chyba udaje.

– Nie zasnę przez całą noc oblizując się. Thom T. zostawił w spiżarni trzy rodzaje płatków śniadaniowych. Jest pole do eksperymentów. Nie ma obawy, byśmy zginęli z głodu.

Właściwie powinna być wściekła za podobne kpiny, ale nie poczuła żadnej złości. Zmarszczyła tylko nosek, aby pokazać, co o tym sądzi, i ujęła z powrotem widelec. Poczuła się nagle bardzo głodna.

– No więc, co będziemy robili, żeby do reszty nie zwariować w tej okolicy? – spytała z pełnymi ustami.

– Chyba nie to, co robiliśmy tu poprzednim razem, żeby zabić czas – odparł.

Meg cała spłonęła rumieńcem. Wszystko, co mówili wydawało się mieć nagle podwójne znaczenie. Znów odszedł ją apetyt, odsunęła na bok talerz.

– Widzę, że muszę bardzo dbać o każde słowo, jakie do ciebie wypowiadam.

– A potrafisz się gryźć w język? – spytał.

Sięgnął po jej miskę, ale ją przytrzymała. Wzrokiem zadał jej pytanie. Puściła powoli miskę. Zabrał ją na swoją stronę stołu.

– Nie potrafię i nie chcę – odparła patrząc, jak Jesse pałaszuje jej widelcem zawartość miski. – Nie daruję dziadkowi i Thomowi T. tego, co nam zrobili.

– Myślisz, że ich obchodzi, czy nam się to podoba, czy nie? Patrząc na całą sprawę z ich punktu widzenia, można przyznać, że mieli rację.

– Bronisz ich?

– Nie. Po prostu rozumiem, dlaczego to zrobili. Zamartwiają się Randym. Z dzieciaka robi się...

– Tylko nie nazywaj go mięczakiem. To jeszcze po prostu

dziecko! – Uniosła się z krzesła kipiąc złością.

– Nie ja to powiedziałem, ale ty. Randy to już nie dziecko. Duży mazgaj uczepiony matczynej spódnicy...

– I matka zatroszczyła się na tyle, by tu przyjechać.

W powietrzu zawisło niewypowiedziane oskarżenie. Meg patrzyła, jak Jesse odkłada spokojnie widelec, wstaje, a szare oczy ciemnieją mu z gniewu.

– Powinienem był posłuchać własnego instynktu. Tak, powinienem był już dawno polecieć do Bostonu, złapać cię za kudły i sprowadzić tutaj – warknął ostro.

Meg, zdumiona, wstrzymała na chwilę oddech, a potem ściszonego głosem, prawie szeptem, spytała:

– To dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Ponieważ wówczas wydawało się to bez sensu. Nie interesowałem cię, nie zatroszczyłaś się, żeby mnie poznać, poznać moje życie i dowiedzieć się, kim ja właściwie jestem. Zastanawiałem się, co ty myślałaś wychodząc za mnie. Że kto ja jestem? John Wayne? – Widać było, że z trudem się hamuje.

– Kto to mówi! – wykrzyknęła drżącym głosem. – Jeśli chciałeś za żonę kowbojkę, to po co szukałeś kandydatki w Aspen?

– Nikogo nie szukałem. Byłaś dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Wydawałaś się prezentem niebios, który mi położono pod moją własną choinkę.

– Prezent rozpakowałeś, pobawiłeś się nim i porzuciłeś.

– Jeśli tak to widzisz, to bardzo dobrze, że za tobą nie pojechałem.

Odepchnął krzesło od stołu i wybiegł z pokoju. Meg opuściła głowę, skryła ją w dłoniach i wszelkimi siłami starała się nie rozplakać.

Jakże ma teraz przetrwać te dni? Wiedziała, że znowu zostanie

głęboko zraniona. W dalszym ciągu pożądała Jesse'a. Chyba nawet bardziej niż kiedyś. Przez te wszystkie lata tęskniła za nim. Może powinna mu od razu zaproponować rozwód, żeby mogli szybko rozjechać się do swoich domów i zacząć o wszystkim zapominać.

Nie! Zacisnęła zęby, oderwała dłonie od twarzy i opuściła ręce. Jeśli on chce się od niej uwolnić, to niech o to pierwszy poprosi. Mimo separacji Meg nadal wierzyła w nierozzerwalność małżeństwa. Od chwili poznania Jesse'a nie miała innego mężczyzny. A nawet gdyby on kogoś sobie znalazł...

Przełknęła ciężko i zmusiła się do rozpatrzenia takiej możliwości. Nawet gdyby miał znaleźć sobie kogoś innego... to Meg nigdy nie wyjdzie ponownie za mąż. A więc bez sensu byłoby proponować mu rozwód. Niech on o to poprosi, jeśli chce. Wtedy nie miałyby wyboru, musiałyby się zgodzić.

Pograżona w tych przygnębiających myślach zebrała ze stołu naczynia, zmyła i uporządkowała kącik kuchenny. Była pewna, że tego wieczoru nie ujrzy więcej Jesse'a. Skryje się gdzieś, póki nie ochłonie, a potem odmówi wszelkiej rozmowy na ten temat. Jesse jest uparty jak osioł. Nie mogła po prostu pojąć, jak mężczyzna może być taki nieczuły.

Tym razem już nie będzie pobłażliwa. Jesse o wszystko, ale to o wszystko ją właśnie winił i Meg ma prawo, żeby mu...

Aż podskoczyła, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich Jesse.

– Musimy sobie parę rzeczy wyjaśnić raz na zawsze – powiedział zdesperowanym głosem. – Skoro bowiem mamy tu razem przebywać Bóg wie jak długo...

– Masz absolutną rację – odparła Meg czując pulsowanie w gardle. Po chwili dodała z podejrziwością: – Ale właściwie, co mamy wyjaśnić?

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Przede wszystkim musimy dobrze pamiętać, po co się tutaj zjawiliśmy. – Jesse wprost napadł na Meg. – Nie rozwiążemy problemu, jeśli tylko będziemy sobie skakać do oczu.

– A jak przypuszczasz, dlaczego? – Meg pragnęła, by odczytał w jej głosie sarkazm, tymczasem zabrzmiało to żałościwie.

– A czyja wiem! – Wzruszył ramionami. – Jesteśmy sobie obcy. Od dwu lat, jednego miesiąca i siedmiu dni, ale kto by to liczył.

– Dziękuję za uściślenie. Czy to moja wina?

– A może nie? I czego teraz ode mnie oczekujesz?

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Przez cały czas miałeś mi za złe, że źle wychowuję mojego syna...

– Naszego syna. I nic takiego nie powiedziałem.

– Dobrze, naszego syna. I potem spodziewasz się, że będę...

– Meg!

– ...dla ciebie słodziutka i wyrozumiała, i...

– Margaret Taggart!

– Tylko się wściekasz. A w ogóle mnie opuszczasz i...

Tak szybko przemierzył dzielącą ich odległość, że nie zdołała się zorientować w jego zamiarach. Objął ją niby żelazną obręczą. Nie mogła ruszyć ręką. Podniósł ją z krzesła lekko, jakby była piórkiem.

Działo się z nią coś przedziwnego; straciła oddech, nie potrafiłaby wymówić ani jednego słowa. Trzymał ją mocno, pochylił się i wpatrywał intensywnie w jej twarz. Nie mogła oderwać wzroku od jego szarych oczu, w których było zdumienie. I coś jeszcze...

– Po co się tu znaleźliśmy? – spytał potrząsając nią.

– Bo nas oboje zaszantażowano. Bo nic innego nie skłoniłoby mnie do przyjazdu. Puść mnie, Jesse!

Potrząsnął przecząco głową.

– Wcale nie dlatego. Jesteśmy tutaj, bo Randy jest w tarapatkach i musimy jakoś to rozwiązać.

– Ooo! – Uleciało z niej podniecenie. Jesse miał rację. Zdała sobie z tego sprawę i zrobiło się jej bardzo wstyd.

Posadził ją z powrotem na krzesło. Opadła bezwładnie, nie spuszczać wzroku z męża. Patrzyła szeroko rozwartymi oczami, zła, że ją dotknął. Zupełnie bezwiednie przesunęła palcami po miejscach, gdzie przed chwilą spoczywały jego ręce.

Jesse ukląkł przed nią opierając przedramiona na jej kolanach, jakby miał do tego naturalne prawo.

– Cała ta sprawa zupełnie mnie wytrąca z równowagi – wyrzucił z siebie.

– Wytrąca z równowagi?

– Czuję się, jakbym lekko zwariował. Zupełnie jakbym miał trafić do czubków. – Nagle wydawał się bardzo zmęczony. – Meg, kochanie, jak myśmy się w to wszystko wpakowali?

– Ja... Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Tak. Chyba rzeczywiście nie rozumiesz. – Jakby się skurczył. – Słuchaj no, od pięciu lat nie żyjemy ze sobą. Zrobmy sobie prezent z kilku dni, żeby się do siebie przyzwyczaić. Zgoda? Może po tych paru dniach będziemy mogli bez emocji porozmawiać o sprawach, które nas tu przywiodły.

Zagryzła dolną wargę i siedziała bez ruchu.

– No i jak, kochanie?

– Nie nazywaj mnie tak! – wybuchnęła.

Przez sekundę wydawało się, że Jesse gwałtownie zareaguje, ale tylko wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz, Meg. Więc może ogłosimy zawieszenie broni na parę dni? Mamy do omówienia wiele ważnych spraw.

Takiej rozmowy nie można prowadzić, stale tylko skacząc sobie do oczu. Wypominając głupie drobiazgi.

– Ooo? Nazywasz to głupimi drobiazgami? – Tak mi się to wydawało. Zresztą nieważne, jak to nazwać. Ważne jest znalezienie wspólnej płaszczyzny wymiany poglądów. Mamy do podjęcia ważne decyzje. Nigdy ich nie podejmiemy, jeśli nie podejźmiemy do problemów rzeczowo i szczerze, bez emocji.

Wszystko to bardzo jej się nie podobało.

Jakże ona może rozmawiać bez emocji, szczerze i rzeczowo z Jesse'em? Zdała sobie nagle sprawę, że nie była szczerą i rzeczową nawet w dialogu z samą sobą. Zrobiło się jej smutno. Gdyby potrafiła bez emocji rzeczowo i szczerze myśleć, to przyznałaby już dawno, że złamał jej serce, gdy bez słowa pozwolił jej odjechać. I to ją właśnie tak strasznie gnębiło. Nieustannie wspominany ból tamtej chwili. Ale potrafi się od niego uwolnić!

Jesse schował ręce głęboko do kieszeni.

– Nie patrz tak na mnie, jak bym przed chwilą zastrzelił twego ukochanego psa – powiedział. – Ja nie proszę, żebyś się poddała, proszę tylko o zawieszenie broni, żebyśmy się mogli zorientować, czy potrafimy rozmawiać. Rozumiesz?

Wyprostowała się na krześle i skinęła głową.

– Masz rację. Musimy się zorientować w sytuacji. Ty chyba tak samo jesteś do tego nie przygotowany jak i ja.

– Może jeszcze mniej – przyznał.

– W to wątpię. Jesteś u siebie w domu. Na własnym terenie. Teksas daje ci przewagę.

– Co za różnica, gdzie jesteśmy. Tu czy tam.

– Zadaj to pytanie dziadkowi i Thomowi T. Obaj spotkali się na neutralnym gruncie w St. Louis.

– Chcesz, żebyśmy pojechali do St. Louis? Doskonale! Jutro

przygotuję furgonetkę.

– A dlaczego nie moim samochodem? Dlaczego mamy jechać twoją furgonetką?

– Dlatego, że ten twój samochód nie jest twoim samochodem. Wynajęłaś go! Pojedziemy moją furgonetką i...

– Jesse!

– Co takiego? – Ciężko westchnął.

– Myślę, że to doskonały pomysł z tym zawieszeniem broni. – Uśmiechnęła się słodko.

Dlaczego w każdej rozmowie z nim muszę mieć ostatnie słowo, pomyślała szykując się do snu. Chyba przedtem taka nie byłam?

Wyciskając z tuby na szczoteczkę pastę do zębów przypomniała sobie, że Jesse zawsze wygniatał tubę w samym środku i nigdy jej nie zakręcał. Teraz miała wreszcie porządne tuby, puste u dołu i zawsze zakręcone.

I nie musiała jeść fasoli z kielbaskami ani wylewać do zlewu przesłodzonej herbaty... I teraz nie wyczekiwała z upragnieniem nocy...

Kiedy wyszła z łazienki, stanęła i wpatrzyła się w szerokie łóżko. Nie takie znów szerokie, jak tak zwane przez fabrykantów łóżka królewskie, ale dostatecznie szerokie dla dwojga. Zrezygnowana, usiadła blisko wezglowia i objęła ramieniem rzeźbiony słupek. No cóż, trzeba się tutaj położyć. Nie było wyboru. Miała jednak ochotę płakać.

Jakże okrutni byli obaj dziadkowie! Żeby to spotkanie odbywało się gdzie indziej! Gdziekolwiek, byle nie tu!

Pomyślała płaczkliwie, że tej nocy wcale nie zaśnie. Nazajutrz będzie wyglądała strasznie. Jak wiedźma.

Jednakże zasnęła. I śniła...

Jesse wnosi ją na rękach do wakacyjnego domu... Oboje śmieją

się radośnie, szczęśliwi wzajemną bliskością. W kominku wesoło trzaskają polana. Jesse stawia ją na ziemię. Meg całym ciałem przywiera do męża.

Kocham cię, Meg, mówi Jesse. Nie myślałem, że kiedykolwiek będę tak kochał! A ja kocham ciebie. Będę cię kochała do końca życia, odpowiada Meg.

Poznanie się, okrzyki szczęścia w zaciszu sypialni... pijani rozkoszą miast winem...

Jesse, nigdy jeszcze nie widziałam takiego łoża!

To jest łożo małżeńskie, moja kochana. Mój prapradziadek sam rzeźbił te podpory, a moja praprababka szyła i napy chała wyspę pierzem.

Thom T. tutaj przywiózł moją babkę, Aggie, na ich miodowy miesiąc. Mój ojciec tu przywiózł moją matkę, a teraz ja przywiozłem ciebie.

Kapelusz Jesse'a szybujący przez pokój i bezbłędnie lądujący na słupku łóżka... Rozpalone, rozdygotane palce Jesse'a przeczesują gęstwinę jej opadających na plecy włosów.

Masz najpiękniejsze włosy na świecie, najpiękniejsze oczy, naj...

Przysięgnij mi, Jesse, że zawsze będziemy tak szczęśliwi, jak w tej chwili! Obiecuj mi!

Obiecuję ci, ukochana. Wszystko ci obiecuję, wszystko... o tak, wszystko!

Meg poderwała się i usiadła sztywno wyprostowana. Serce jej waliło jak młotem, dyszała. Przez chwilę rozglądała się ze strachem w ciemnościach, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Gdzie ona jest?

I nagle zdała sobie sprawę, że to jedynie sen. Właściwie nie sen, ale wspomnienie. Opadła na poduszki i zacisnęła oczy. Obejmując i tuląc do siebie poduszkę, z wolna, olbrzymim wysiłkiem woli,

uspokajała się. Trudno jest wpływać na senne majaczenia, ale chyba potrafi kontrolować własne życie na jawie. Na pewno!

Będzie uprzejma i miła, ale z dystansem. Nie będzie się z nim przekomarzała, nie będzie kłóciła i nie będzie okazywała złego humoru. Nikt nie będzie mógł nic jej zarzucić.

Pokaże się jako kobieta rzeczowa, umiejąca pokierować swoim życiem, odpowiedzialna i oddana, której można bez wahania powiedzieć, iż umie podejmować właściwe decyzje. Jeśli idzie o Randy'ego – potrafi wybrać mu właściwą szkołę. A to właśnie jest jedną z pierwszych decyzji, jakie będzie musiała podjąć. Jeśli teraz nie znajdzie porozumienia z Jesse'em, to czekają ją lata kłótni i obrzydliwych scen.

Kiedy już ułożą się i wyglądzą ich wzajemne stosunki, to z pewnością znikną bezsensowne myśli na jego temat. Na jawie i we śnie.

Meg podniosła głowę znad patelni, na której skwierczała kiełbasa i obdarzyła Jesse'a konwencjonalnym uśmiechem.

– Dzień dobry! – powiedziała pełnym spokojnej godności głosem.

– Kawy! – Tylko to jedno błagalne słowo.

Jesse wyglądał okropnie. Był nieogolony, miał szczecinę nad górną wargą. Zbyt długie włosy płątały się kosmykami koło uszu i na czole. Z oczu ziało zmęczenie.

Był boso, miał na sobie odwieczne dżinsy i kraciatą koszulę luźno zwisającą i rozpiętą. Patrzyła zdezorientowana, jak nalewa kawę do kubka i łapczywie połyka pierwszy łyk.

– Cholera, jasna cho... – Spojrzał na nią z ukosa. Kawa była zbyt gorąca. Oparzył się. Otworzyła szafkę, wyjęła szklanę, napełniła ją wodą i podała mu.

– Dziękuję – powiedział.

Dlaczego ja to zrobiłam, pomyślała. Miała do siebie poważną pretensję. Jesse może się sam obsłużyć.

Wzięła do ręki słoik z konfiturami i teraz zmagала się z wieczkiem. Gdy Jesse stanął tuż za nią, poczuła fizyczne podniecenie.

– Pozwól, ja to zrobię – powiedział jej prawie do ucha.

Zaskoczona, oddała mu słoik. Otworzył go nieznacznym ruchem dłoni i podał z bladym uśmiechem.

Była strasznie spięta, bo wciąż stał blisko.

– Wyglądasz jak... – zaczęła, aby wyrwać się z tego stanu, ale w połowie urwała.

Nie, nie będzie żadnych przycinków i złośliwości, przecież to sobie obiecała!

– Wiem – odparł ponuro. Wziął kubek z kawą i podszedł do stołu. – Wyglądam jak zajeżdżona szkapa, którą zapędzono do boksu.

– Ależ nie, nie! – zaprotestowała, chociaż Jesse trafił w samo sedno. – Chciałam po prostu powiedzieć, że wydajesz się bardzo zmęczony.

– Mój materac jest chyba wypełniony kamieniami – powiedział zerkając na Meg. – Natomiast ty wyglądasz...

Jego dokładna lustracja bardzo ją zdetonowała. Nie powinna była wkładać tak obcisłych dżinsów. A chociaż jej różowa bawełniana koszulka nie była wcale obcisła, Meg poczuła twarde sutki, gdy wpatrzył się w jej piersi.

– Natomiast ty wyglądasz, jakbyś spała doskonale – oświadczył z aprobatą.

– Jak niemowlę – skłamała udając wesołość i dziękując Bogu za szminki i umiejętność ich zastosowania. – Wiesz przecież, jakie to jest wygodne łóżko...

– Zbyt późno zorientowała się, że powiedziała coś, czego nie powinna była mówić. Czuła, że policzki jej płoną.

– Aha – zgodził się ochoczo. – To było zawsze bardzo wygodne łóżko. – Jego uśmiech wskazywał, że Jesse na dobre zaczyna się budzić. – Zawieszenie broni, pamiętasz? Naprawdę nie chcę i nie mam zamiaru wprowadzać cię w zakłopotanie. A więc zmieńmy temat. Co to za wspaniałe zapachy dochodzą mnie z kuchni?

– Kielbaski, placki, a na to wszystko smażone jajka – oświadczyła z dumą. – Poczęstowałeś mnie kolacją, więc się rewanżuję śniadaniem.

– No dobrze, ale przecież kucharz decyduje o menu, taka jest zasada. – Spojrzał na nią lekko zdziwiony.

– W zasadzie to prawda... – zgodziła się. Otworzyła piecyk, aby sprawdzić, czy placki już się rumienią. Były gotowe. Przez ścierkę ujęła rączkę naczynia i wyjęła je z piekarnika.

– To jest przecież moje ulubione śniadanie! – wykrzyknął. – Jeśli sobie dobrze przypominam, to ty raczej jadasz jaskółcze języki na waflach i popijasz jakimś tam nektarem.

Mówił żartobliwie, bez żadnej złośliwości. Meg była bliska pokazania mu języka, ale tylko zmarszczyła nos w uśmiešku.

– Kto wie, może staram się poprawić nastrój po wczorajszym zaczepnym powitaniu.

– Wątpię – odparł po chwili zastanowienia. – Wątpię, czy to jest przyczyną. Przecież ty nigdy w życiu nie przygotowałaś mi prawdziwego śniadania.

– To nieprawda!

– Mówiłem o prawdziwym śniadaniu. Zalanie mlekiem płatków kukurydzianych czy owsianych nie liczy się. No, przyznam, że raz to zrobiłaś.

– Co najmniej trzy razy – zaprotestowała. Zdjęła z kuchni

garnuszek ze specjalnym sosem do placków.

Prawdę mówiąc nauczyła się gotować dopiero po powrocie do Bostonu. Przynajmniej miała zajęcie czekając, by po nią przyjechał i zabrał do ich wspólnego domu. Snuła często fantazje, jak to Jesse będzie zdumiony i uradowany jej nowymi umiejętnościami.

– Cud, że wtedy nie umarliśmy z głodu – usłyszała głos Jesse’a zajęta nakładaniem na talerze. – Ja nie miałem zamiaru gotować, a ty nie umiałaś.

– To prawda, Jesse – odparła z miłym uśmiechem stawiając przed nim talerz. – Zdawałam sobie sprawę z tego, że nie umiem nawet gotować jajek. Ale ty nie umiałaś i nawet o tym nie wiedziałaś. Minęło wiele czasu, nim to pojęłam. Teraz ja umiem gotować, a ty nadal się łudzisz, że umiesz. Przyznaj się, bo inaczej zabiorę ci wspaniałości, które przed tobą stoją!

Po zjedzeniu sześciu placków odsunął talerz z westchnieniem głębokiego zadowolenia. Nie szczędził pochwał, co zdumiało Meg.

– Najlepsze placki, jakie jadłem w życiu. Nawet w Teksasie nie ma lepszych.

Roześmiała się zadowolona. Jesse nigdy nie był szczodry w pochwałach. Najwidoczniej jedynie heroiczne wysiłki mogły wzbudzić w nim podziw.

Już po rozstaniu Meg doszła do wniosku, że Jesse nie zdawał sobie sprawy, iż wszystkie jej wysiłki, by coś zrobić dobrze, należały do gatunku heroicznych. Atmosfera domu Meg pełnego służby, dziadek wymagający od dorastającej dziewczyny przede wszystkim układowego zachowania, całe jej wychowanie – to wszystko nie skłaniało do ślania łóżek, ścierania kurzu z mebli i trzepania dywanów. Meg była taka nieporadna, że po pierwszym roku w domu akademickim musiała się wyprowadzić na prywatną kwaterę, gdyż żadna ze studentek nie chciała z nią mieszkać. Na kwaterze

prywatnej mogła wynająć kogoś do ciężkiej pracy, polegającej na zmywaniu naczyń i wieszaniu jej sukienek na ramiączkach w szafie.

Wiele się jednak nauczyła od tamtych lat. Dowiodła, że potrafi się zmienić. Czy słowa uznania ze strony Jesse'a oznaczają, że i on się zmienił?

Po śniadaniu Jesse grzecznie zaproponował spacer konno, ona równie grzecznie odmówiła. Pomyślała sobie, że sytuacja dobrze się rozwija, więc nie należy kusić losu spędzając razem zbyt wiele czasu.

Słyszała, jak Jesse odjeżdża. Gdy po kilku godzinach wrócił, siedziała na podłodze przed wygasłym kominkiem pochylona nad małym, starym kuferkim. Wokół na plecionej macie leżały rodzinne fotografie.

Powitała Jesse'a uśmiechem.

– Patrz! Znalazłam skarb Taggartów! – powiedziała miękkim głosem.

Jesse nigdy nie mówił wiele o swojej rodzinie, ale Meg pomyślała teraz, że powodem mogło być jej znikome zainteresowanie. W pierwszym roku małżeństwa byli całkowicie zapatrzeni w siebie. W drugim roku zapatrzeni wyłącznie w dziecko. W roku trzecim zajmowały ich coraz ostrzejsze spory. A minione pięć lat żyli osobno.

Wiedziała tylko, że Taggartowie to pionierska teksańska rodzina. I nic więcej. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że historia Taggartów może być równie bogata jak historia jej własnej rodziny w Nowej Anglii. Bardzo się teraz wstydziła swojego snobizmu.

Twarz Jesse'a złagodniała. Pochylił się i wziął jedno ze zdjęć.

– To jest babka Thoma T., Diana. Wyszła za Jamesa Taggarta. Stąd moje drugie imię. Jej rodzina przybyła na Południe po wojnie.

– Po wojnie domowej?

– Po wojnie o prawa Południa. Albo po prostu po agresji z Północy. W tamtej wojnie nie było żadnej domowej atmosfery. – Skrzywił twarz w uśmiechu.

– Aha, masz na myśli wojnę spowodowaną rebelią południowych stanów! – odezwała się niewinnym głosem.

Spojrzał z ukosa unosząc jedną brew, a potem usiadł koło Meg na podłodze podwijając długie nogi.

– Gdzie znalazłaś ten kuferek?

– Na podłodze w pomieszczeniu garderobianym. Chyba nie masz mi za złe, że przeglądam te fotografie?

– Ależ skąd! Należysz do rodziny Taggartów.

Czasowo, pomyślała Meg. Wzięła do rąk inną fotografię i spojrzała na poważną twarz młodej kobiety w prostej ciemnej sukni spiętej prześliczną broszką.

– To moja prapraciotka-babcia, Rosę – wyjaśnił Jesse. – To właśnie ona była wmieszana w sprawę sławnego rewolwerowca, którego pochowano na cmentarzyku koło kościoła w Showdown. Miasteczko nazywało się wtedy Jones. Tak było do czasu, kiedy Rosę i jej kawalerowie nie narozrabiali. Powstała cała legenda na ten temat.

Mimo powagi spojrzenia kobieta na zdjęciu w istocie mogła poruszyć miasteczko. Powaga tak, ale i wyzwanie. I skrywany uśmiech wielkiej radości życia.

– Co się z nią stało? – spytała Meg.

– Nikt nie wie na pewno – odparł Jesse. Był wyraźnie przejęty jej zainteresowaniem rodziną. – Mówią, że po wielkiej strzelaninie w Showdown uciekła z tym, który przeżył, a był to szeryf miasteczka. Dobrzy obywatele zmienili wówczas nazwę z Jones na Showdown, aby tym uczcić najbardziej podniecające wydarzenie w historii osiedla. Showdown czyli Rozróżba. Mocna nazwa.

Meg odłożyła fotografię do pudełka, z którego ją wzięła, i zaczęła zbierać pozostałe zdjęcia.

– A co się stało z twoją praprababką, Dianą? – Miała bardzo szczęśliwe życie. – Głos Jesse’a złagodniał. Widać było, że rozmowa o przodkach sprawia mu prawdziwą przyjemność. – Kochała swojego męża, ich małżeństwo trwało ponad pięćdziesiąt lat. Miała trzech synów.

Jesse podnosił kolejno pakieciki z listami związane wyblakłymi niebieskimi wstążkami.

– Wydaje mi się, że wszystkie kobiety Taggartów lubiły życie rodzinne – oświadczył. – Jeśli chcesz, to poczytaj sobie te listy.

– Może później – odparła Meg w zamyśleniu, bo utkwiło jej w pamięci te pięćdziesiąt lat. Przetrwali ze sobą ponad pięćdziesiąt lat! Prapradziadek musiał być jakimś wyjątkowym mężczyzną. Jakże inny jest jego potomek. Uparty jak osioł.

Ów potomek wyciągnął właśnie spod stosu wielką kopertę, którą Meg skrzętnie ukrywała pod innymi memorabiliami.

– A co to jest? – spytał.

– Nic – odparła usiłując odebrać kopertę.

– Jeśli to nic nie jest, to chyba mogę zobaczyć.

– Bo... dlatego, że... – Zagryzła wargi patrząc, jak wyjmuje zawartość i rozkłada na podłodze.

Były to fotografie Jesse’a, Meg i Randy’ego robione w ich szczęśliwych latach. Meg próbująca podtrzymać Jesse’a na stoku podczas zmagania z nartami, Jesse usiłujący nauczyć Meg siodłania konia, Randy w dniu, kiedy go wnoszono do domu po powrocie z oddziału położniczego.

– Przeglądałaś je? – spytał, obrzucając ją baczny spojrzeniem.

– Nie. To znaczy zobaczyłam, co to jest, i odłożyłam z powrotem.

– Dlaczego? Czy wszystkie twoje wspomnienia z tego okresu są takie złe?

Chciała mu powiedzieć, że nie, że wszystkie wspomnienia nie są złe, że są jedynie zbyt bolesne, aby się nad nimi roztkliwiać.

Spojrzała na Jesse'a. Nagle ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Wpadła w emocjonalną pułapkę.

Tak się właściwie spotkali po raz pierwszy. Nastąpił wówczas szok nagłego rozpoznania i jakaś pewność, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

Wówczas byli młodzi i nierozsądni. Obecnie minęło jedno i drugie. Po raz drugi nie da się nabrać na tę opalenizną urodziwej twarzy i bujne czarne włosy, na zachęcające do pocałunków usta i długie rzęsy, które kładły mu się prawie na policzki, gdy zamykał oczy. O nie!

Jesse zacisnął usta. A potem powiedział:

– Twoje wspomnienia są chyba gorsze od moich. – Odsunął się i zabrał fotografie, a następnie włożył je z powrotem do koperty. – Co jeszcze znalazłaś? – spytał martwym głosem.

– Nic. Absolutnie nic. – Zaczęła odkładać wszystkie skarby do kufierka: fotografie, dawne zaproszenia, receptury, papierowy wachlarz ozdobiony puciołowatymi kupidynami...

Obserwował w milczeniu. Nie próbował jej zatrzymać, gdy wstała, podniosła kuferek i poszła z nim przez hol.

Kiedy zniknęła mu z pola widzenia, wyjął spod rogu dywanika kopertę z oglądanymi przed chwilą zdjęciami z własnej przeszłości. Wstał i zaniósł kopertę na łóżko do swojej sypialni. Usiadł i długo jeszcze przeglądał zdjęcia, wpatrując się intensywnie w jedno, odkładając inne. Wreszcie schował do koperty wszystkie zdjęcia z wyjątkiem jednego. W to jedno wpatrzył się raz jeszcze.

Nie spotkał w życiu piękniejszej kobiety niż Margaret Randall.

Stracił dech, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Atlas brązowych oczu, włosy barwy miodu, długie, opadające na plecy. Właściwie to nie jej uroda go zniewoliła. Znał wiele pięknych kobiet, ale z żadną nie chciał się ożenić.

To było coś innego. Coś emanującego z wnętrza, co go tak poraziło, że poddał się natychmiast. Całkowicie uległ jej czarowi. Może był to sposób lekkiego przekrzywiania głowy, gdy się śmiała, może szeroko otwarte oczy, gdy była zmieszana lub niepewna, może grymas ust, gdy była zła. Jedno wielkie wyzwanie! Przyciągała go jak magnes.

I teraz odkrył ją ponownie... taką samą, ale jakże inną!

Zaczął się przyzwyczajać do krótkich włosów Meg. Doszedł nawet do wniosku, że jest jej z nimi dobrze. Nadawały jakąś miękkość twarzy. W każdym razie wydawało mu się, że jest to kwestia fryzury, wyglądała bowiem zdecydowanie delikatniej i bardziej... kobieco.

Jednakże Meg wcale nie była delikatniejsza. Przeciwnie – była twardsza i nawet bardziej uparta niż w przeszłości, kiedy się z nią zenił.

Czegóż innego mógł oczekiwać po pięciu latach osobnego życia?

Cisnął fotografię na stolik przy łóżku i położył się nie zwracając uwagi, że pakuje się butami na kapę z ręcznymi aplikacjami. Założył ręce za głowę i wpatrzył się ponuro w sufit. Nic z tego nie wyjdzie, pomyślał. Dobrze zdawał sobie sprawę, czego chcieli obaj dziadkowie, ale niestety nie było żadnych szans. Mają absolutną rację tylko co do jednego: taka sytuacja nie może dłużej trwać w zawieszeniu.

Nadszedł czas rozwiązania.

Po trzech pełnych napięcia dniach, podczas kolacji składającej się ze zrazików i spaghetti, zaproponował jej rozwód.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Meg zakrztusiła się popijanym właśnie czerwonym winem, łyzy napłynęły jej do oczu. Gdy mogła znów oddychać, wydobyła z siebie pytanie:

– Co ty powiedziałaś?

– Słyszysz przecież! – Dziobał widelcem makaron na talerzu. – Jeśli chcesz wnieść pozew o rozwód, to nie będę się sprzeciwiał.

– Jak ty śmiesz coś podobnego proponować! – Gwałtownym ruchem odsunęła od siebie talerz. Jej oczy ciskały błyskawice. – Jeśli ty chcesz rozwodu, to sam wnoś sprawę! Ja ci ułatwić nie będę!

– Myślałem, że tego chcesz! – Wydawał się naprawdę zaskoczony. – Do diabła! Sama przecież powiedziałas, że masz jedynie złe wspomnienia.

– Nic takiego nie powiedziałam! Dla twojej informacji: mam bardzo dobre wspomnienia.

– No to wymień jakieś!

– Sam sobie wymieniaj. Moje wspomnienia, moja sprawa.

– Nie rozumiem, dlaczego. Przecież to mnie właśnie winisz za te, które nie są dobre. – Rozparł się na krześle, twarz miał stężałą. – Myślę, że złożyłem ci zupełnie rozsądną propozycję.

– Uważasz za rozsądne powiedzenie, że rozwód jest jedynym rozwiązaniem?

– Nic podobnego nie powiedziałem. To jest jedno z rozwiązań. – dlaczego wyszedłeś z tym właśnie teraz? – Poczwała nagle, że krew spływa jej z twarzy i że robi się jej bardzo zimno. – Chyba że...

– Chyba że co?

– Masz inną kobietę.

Nie odpowiedział od razu, natomiast przez jego twarz przebiegła cała gama uczuć. Zdziwienie? Zaskoczenie? Rozczarowanie?

– To nawet nie zasługuje na odpowiedź – stwierdził śmiertelnie spokojnym tonem.

– To już stanowi odpowiedź. Taką samą, jaką zawsze mi dawałeś. Nawet wtedy, kiedy cię spytałam, skąd masz te ślady szminki na kołnierzu koszuli.

– Wtedy nie pytałaś, tylko rzuciłaś oskarżenie. A ja nie lubię, kiedy dociska się mnie do muru.

– A ja nie lubię... – urwała nagle nie chcąc mu się przyznać, że nie lubi, a nawet nie znosi myśli, że Jesse przebywa z inną kobietą. Tak, tego nie należało mówić. Skończyła więc nieporadnie słowami:  
– Nie lubię innych rzeczy.

– A więc złożysz pozew? – spytał z zaciętą nagle twarzą.

– Zdecydowanie nie! To tak, jakbym się przyznawała do winy za rozpad małżeństwa. Odmawiam dyskusji na ten temat. Chcesz rozwodu, wnieś pozew.

– To był gest kurtuazji wobec kobiety... – odezwał się.

– Ajajaj, nie można pozwolić, żeby ktoś pomyślał, że pan małżonek nie postępuje jak dżentelmen i że nie zna się na dobrych obyczajach. – Wstała od stołu zabierając prawie nietknięty talerz. Czują ucisk w piersiach, trudno jej było oddychać. Oczy paliły i były przeraźliwie suche.

Zaczęła sprzątać ze stołu, Jesse jakby się skurczył. Z wyjątkiem pierwszego wieczoru zawsze oboje sprząтали i zmywali. Przerzucając z hałasem naczynia pamiętała, że dawniej, kiedy jeszcze byli ze sobą, Jesse nigdy nie pomagał w robotach domowych. A miała nadzieję, że oboje dojrzeli w czasie tych lat rozłąki! Niestety, to nadal uparty osioł, egoista...

Jesse poderwał się z krzesła tak nagle, że Meg upuściła talerz, który upadł na podłogę i roztrzaskał się na sto kawałków.

– Moja odpowiedź brzmi: nie! – oświadczył.

– Odpowiedź na co? – zastygła w zdziwieniu.

– Na wszystko! – Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu bez dalszych wyjaśnień.

Jej frustracja nie miała granic. Chciałaby krzyczeć, płakać, chciałaby... dowiedzieć się, co miał na myśli. Że nie chce rozwodu? Że nie ma innej kobiety?

Czy też, że nie zaszczyci żadnego z jej komentarzy odpowiedzią?

Napięcie między nimi tak wzrosło, że w parę dni później Meg niemal z ulgą przyjęła wizytę Joego Boba Brooksa. Podjechał furgonetką pod dom, nacisnął klakson i wystawił głowę.

– Hej, cześć! – Otworzył drzwiczki i wygramolił się zza kierownicy. Na całej długości karoserii widniał napis: GOŚCINNE RANCZO JOEGO BOBA BROOKSA NAD CZARCIA RZEKĄ. Poniżej mniejszymi literami znajdowało się bojowe zawołanie: „Stary Joe Bob, któremu żaden byk nie da rady”.

On sam nie może dać sobie z sobą rady, pomyślała Meg schodząc ze schodków i stając w cieniu orzechowego drzewa. Nie uszedł jej uwagi błysk w oczach przybysza.

– Kopa lat! – powiedziała.

– Święta prawda! – Joe Bob dosłownie przygalopował do niej niby szczeniak. Od czasu, kiedy go po raz ostatni widziała, przytył co najmniej dwadzieścia kilo, brzuszysko zwisało mu nad ozdobną klamrą pasa. Zdjął z głowy czarny kapelusz z szerokim rondem i, krzywiąc twarz w uśmiechu, otarł z niej pot rękawem koszuli.

– Jest tu gdzieś Jesse? – spytał.

– Pojechał konno na spacer.

– Dziwne zachowanie podczas drugiego miodowego miesiąca. – Mrugał porozumiewawczo. – Bo to jest właśnie to, prawda?

– Tak wygląda, no nie, Joe Bob? – Przyoblekła twarz w sztuczny

uśmiech.

– Aha... no więc. – Przeształ z nogi na nogę.

– Pozwolisz, że na niego poczekam?

Nim zdołała odpowiedzieć, usłyszała tętent konia. Obróciła się i zobaczyła Jesse'a. Koń był spocony, lekko spłoszony, ale Jesse siedział w siodle z budzącą podziw gracją. Jego jeździeckie umiejętności stały się już legendą i to nawet w tej krainie, gdzie na grzbiet koński wsadza się już niemowlęta.

Na widok przyjaciela Jesse wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Cześć, stary koniokradzie! Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś, że zwałeś się w okolicę? – powitał Jesse'a Joe Bob.

– A co, nie dochodzą już do ciebie grypsy, naciągaczu turystów?

Meg odeszła czując się niepotrzebna. Była zła. Kątem oka widziała, jak Jesse zgrabnie zeskakuje na ziemię i jak przyjaciele poklepują się po plecach.

Czy przypadkiem Jesse nie łamie porozumienia? Przecież mieli tu być razem sami. Jeśli teraz Jesse zniknie gdzieś z przyjacielem...

Usłyszała ciężkie stąpanie na ganku. Obaj mężczyźni weszli do domu: pierwszy Jesse, a za nim Joe Bob, który nie wyglądał na zachwyconego.

– Zupełnie nie rozumiem – odezwał się Joe Bob.

– Dlaczego właściwie nie chcesz jechać?

– Już ci powiedziałem – wyjaśniał Jesse spokojnym tonem, podchodząc do kranu i nalewając sobie szklankę wody. – Celem mojego przyjazdu jest spędzanie czasu z moją... żoną. – Zerknął w jej stronę.

– No to dlaczego pętasz się konno po okolicy sam, a żoneczka czeka na progu? – odpalił Joe Bob i zwracając się do Meg dodał: – Bez obrazy, bez obrazy!

Nie miała zamiaru się obrażać, zbytnio zainteresowana dialogiem przyjaciół.

– Nie potrafisz się tego domyślić? – odparł Jesse. Joe Bob zmarszczył tłusciutką buzię. Po chwili oblekł ją w uśmiech.

– Chciałeś powiedzieć, że... żeście się pokłócili?

– Jesse i ja się nie kłócimy – odparła słodko Meg.

– Czasami tylko głośno dyskutujemy.

Lekki uśmieszek pojawił się na ustach Jesse’a.

– Dobrze, dobrze, wszystko rozumiem, nie jestem głupi. Ale jeśli zmienisz zdanie, Jesse, to wiesz, gdzie mnie szukać. – Joe Bob obrócił się w stronę drzwi.

– Zostawiam was w spokoju, moje wy papużki nierozłączki.

– Przepraszam cię, Joe Bob, ale... – tłumaczył się Jesse.

– Ale na jubel czwartego lipca przyjdziecie, prawda? U nas nie ma takiego widowiska jak w Showdown, ale wszyscy świętują w tym naszym czarcim grodzie. Ognie sztuczne, zabawy, gry, tańce. Weź Margaret i przychodź.

– Na imię jej Meg, a nie Margaret – poprawił Jesse.

– Niech będzie – zgodził się Joe Bob i wyszedł, a za nim Jesse.

– Przyrowadzisz swoich frajerów z rancza? Żeby też zobaczyli, jak wygląda prawdziwe święto Czwartego Lipca w Teksasie?

– To są goście, nie frajerzy! Goście, mój drogi. Dobrze płacą.

Dalszej rozmowy Meg już nie dosłyszała. W ponurym nastroju usiadła przy stole i wzięła do ręki książkę. Po raz piąty już ją tak brała, po raz piąty czytała dwudziestą trzecią stronę i nadal nie mogła sobie przypomnieć, o co w ogóle chodzi. Była absolutnie znudzona własnym towarzystwem. Dostawała szału. Gdyby ją Joe Bob zaprosił na pieczenie prosiaka na swoim ranczo, to zgodziłaby się z radością, byle się stąd choć na krótki czas wydostać.

Jesse wsadził głowę do pokoju i spytał:

– Masz wolny kwadransik?

– Do czego?

– Żeby się przygotować do wyprawy.

– Po co?

– Pojedziemy do miasta. – co tam będziemy robić?

– Czy to ważne?

– Właściwie nie...! – W głębi ducha była zachwycona propozycją.

– No, to tylko trochę przechodzę moją szkapę i pojedziemy. Spotkamy się przed domem.

Wyjechali blisko południa. W furgonetce opuścili wszystkie szyby, radio lamentowało muzyką country.

– Warto by to i owo kupić w sklepie spożywczym – przekrzykiwała Meg wycie radia i szum motoru.

– Tak sobie właśnie pomyślałem, że wracając zatrzymamy się przed spożywczym – odparł Jesse, zmieniając bieg przed jakąś wyjątkowo głęboką dziurą na polnej drodze. Wyjechał zaraz potem na dwupasmową asfaltową szosę. Hałas i klekotanie ustały.

– Miałeś dobry pomysł z tym wyjazdem – powiedziała Meg rozsiadłszy się wygodnie.

– Chyba tak. Zbyt dużo było tej samotności w cztery oczy w czterech ścianach. Tyle tylko, że przez ostatnie dwa dni byliśmy w różnych pokojach i to prawie przez cały czas.

– Z wyjątkiem posiłków. Jeśli można nazwać wspólnym przebywaniem siedzenie przy jednym stole i całkowite ignorowanie obecności drugiej osoby.

– Jeśli chcemy skrócenia tej męki, to powinniśmy zacząć rozmawiać. – Spojrzał na nią z ukosa.

– Owszem. – Zacisnęła usta i wlepiała wzrok w splecione na kolanach dłonie. – Ale to jest takie trudne! Z tym domem łączy się

tyle cudo... – wybuchnęła nagle i równie nagle urwała. – Wspomnień i to w większości miłych – dokończyła po chwili. – Jest mi bardzo trudno usunąć to wszystko z pamięci.

– Mnie też – powiedział wpatrzony w drogę przed sobą. Jego twarz z profilu wydawała się spięta i ponura. – Tamto minęło, przeszło, teraz trzeba myśleć o przyszłości.

– Masz w zupełności rację. Chodzi o Randy’ego.

– Tak. Chodzi o Randy’ego. – Po dłuższej chwili dodał: – Ale czy wiesz, na co oni mają nadzieję?

Pochwycił jej intensywne spojrzenie.

– Kto ma nadzieję?

– Obaj dziadkowie.

– No tak, wiem. Oczywiście. Mają nadzieję, że przestaniemy... kłócić się na temat Randy’ego.

Zwolnił przed skretem w prawo. Miasteczko leżało na końcu obsadzonej drzewami alei.

– Trafiłaś w dziesiątkę. I uważają, że najlepszym wyjściem byłoby... hmm... wznowienie naszego małżeństwa. Co ty na to, Meg?

– Oni zwariowali! – Przeraziła się tym własnym wykrzyknikiem.

– O lisach zawsze się mówi, że są zwariowane. Oni są jak te chytre lisy. Wepchnęli nas specjalnie do domu, w którym spędziliśmy miodowy miesiąc. A skąd się tam wzięły te wszystkie zdjęcia w kuferku? Oni je podrzucili. Czy w twojej sypialni było jedno z naszych ślubnych zdjęć?

– Było. – Meg westchnęła. – U ciebie też?

– Oczywiście. – Potrząsnął z oburzeniem głową. – Thom T. powiedział, że nadszedł czas decyzji. Albo małżeństwo trwa, albo się kończy. Jeśli się ma skończyć, to...

Wiedziała, jakiego słowa nie dopowiedział: rozwód.

– Co mu powiedziałaś? – spytała.

– Że to nie jest jego sprawa i że zrobimy to, na co będziemy mieli ochotę.

– Brawo! – stwierdziła buntowniczo.

Jesse skręcił na parking przed hamburgerowym barem pod wezwaniem Samotnej Gwiazdy, podjechał tuż pod umieszczony na słupie mikrofon, przez który kierowcy składali zamówienia.

– Halo, cześć! – odezwał się kobiecy głos z głośnika zawieszonoego na słupie powyżej mikrofonu. – Czy to ty jesteś, Jessie Taggarcie? Witaj, kochanie!

Jesse obrócił głowę w stronę mikrofonu:

– Witaj, Ido Tuttle. Po tylu latach jeszcze smażyysz hamburgery?

Jakieś szumy w głośniku zniekształcały słowa odpowiedzi:

– Żadne nędzne hamburgery, które wy tam jesteście zmuszeni jadać. U nas i tylko u nas są prawdziwe teksasburgery. A kto tam z tobą siedzi? Czyżby to była najstarsza córka Cartera Dobbinsa?

Meg, która dotychczas słuchała tej wymiany słów z uśmiechem, nagle straciła dobry humor. Nie miała pojęcia, kto to jest owa najstarsza córka Cartera Dobbinsa, ale najwidoczniej kobieta dobrze znana Jesse’owi.

Jesse spojrział na Meg z niepewną miną i powrócił do rozmowy z niewidoczną Idą Tuttle:

– Popełniłaś gafę, droga Ido. Jestem tutaj z żoną.

– Ooo, bardzo przepraszam! Zaraz ci podam to, co zwykle. Dwa teksasburgery i dwie porcje frytek!

Głośnik zamarł.

– Bardzo mi przykro – powiedział Jesse i wyglądał, jakby mu naprawdę było przykro. – Jesteś trochę podobna do najstarszej córki Cartera, w każdym razie z dużej odległości.

– Bardzo mi to pochlebia – odparła lodowato.

– Nawet powinno. Donna Dobbins zawsze była najładniejszą

dziewczyną w miasteczku, w każdym razie do chwili, kiedy ty... – Urwał i zaczerpnął głęboko powietrza. – Przestaśmy mówić o Donnie Dobbins. Nie chciałem ci zrobić przykrości.

– Porównanie mnie do Donny Dobbins nie sprawia mi żadnej przykrości – odparła z urażoną miną.

– Nie o tym przecież mówię. Dobrze to wiesz.

– Zdjął kapelusz i położył go między siedzenia. Powstała jakby przegroda. – Chciałem ci powiedzieć, że w ogóle nigdy nie chciałem ci sprawić przykrości. Ignorancja, może głupota, ale nigdy świadomie...

Meg bezwiednie gładziła palcami rondo kapelusza.

– Ja też ci nigdy nie chciałam sprawiać przykrości. Wiem, że cię często raniłam. Ale to zaczęło się potem, kiedy wydawało mi się, że ty zraniłeś mnie. To była samoobrona. Potrafisz to zrozumieć?

– Niezupełnie, ale ogólnie wiem, o co ci chodzi.

– Czyżby? – Była na siebie wściekła, kiedy usłyszała swój głos wypowiadający to kolejne wyzwanie. Niemniej brnęła dalej: – Jakoś nie wiedziałeś tamtego dnia, kiedy przeglądałam fotografie i pamiątki z kuferka. – Przecież nie pojął, o co chodzi, kiedy zabrała dziecko i wyjechała do Bostonu.

– Czy ci nie przychodzi do głowy...

– Hej tam, podnieście troszeczkę szyby, żebym mogła zawiesić tackę!

Aż podskoczyli słysząc wezwanie i obrócili się w stronę okna od strony kierowcy, gdzie pojawiła się roześmiana twarz kobiety w średnim wieku. Jesse podciągnął szybę, na której Ida Mae zawiesiła sprawnie tackę.

– Cześć! – powiedziała grzecznie, patrząc na Meg.

– Jestem Ida Mae Tuttle i znam tego chłopca od jego szczenięcych lat.

Meg uśmiechnęła się widząc przyjazne zachowanie Idy.

– Bardzo mi miło – powiedziała. – A ja jestem...

– Wszyscy w mieście znają śliczną żonę Jesse’a. Ja tylko sobie tak przedtem żartowałam. Przyjechaliście do letniego domu?

– Właśnie! – Jesse wydawał się strasznie roztargniony. Wziął karton z frytkami i położyłby go na swoim kapeluszu, gdyby Meg w porę nie usunęła przeszkody.

– Wspaniałe miejsce na drugi miesiąc miodowy. – Ida Mae mrugnęła porozumiewawczo. – Pewno się spotkamy na święcie Czwartego Lipca! – powiedziała odchodząc.

– Już druga osoba mówi o drugim miesiącu miodowym. Co to ma znaczyć? – spytała ze złością.

Jesse podał Meg olbrzymiego teksasburgera.

– No cóż, pewno Thom T. puścił w obieg taką historyjkę myśląc, że robi nam przysługę.

– Czyżby Thom T.?

– Nie złość się. Tak, Thom T. No bo co miał powiedzieć, że potrzebujemy ringu na kilka rundek i na podjęcie decyzji, czy mamy się pozabijać? A poza tym określenie „miesiąc miodowy” gwarantuje, że nas ludzie pozostawią w spokoju.

– Z wyjątkiem Joego Boba. – Nieco uspokojona uszczknęła kąsek teksasburgera. Były na nim: pomidor, sałata, majonez i korniszon wielkości małego palca. Wszystko razem wcale niezłe.

– Nie dziw się. Joe Bob zna nas lepiej niż ktokolwiek w okolicy. I chyba nie uwierzył w ten drugi miodowy miesiąc.

– A jeśli uwierzył, to zlekceważył.

– Bądź wyrozumiała, Meg. Właśnie rozpadło się jego małżeństwo i on teraz pracuje po trzydzieści sześć godzin na dobę sam jeden, żeby coś wycisnąć ze swojego rancza. Ma sporo kłopotów na głowie.

– Ustępuję – odparła nadspodziewanie łagodnie.

Skończyli teksasburgerowy posiłek w klimacie towarzyskiej rozmowy o pogodzie, miasteczku i jego mieszkańcach, lecz nie o sobie. Jesse odniósł tackę i pojechali do sklepu spożywczego Pod Żółtą Różą. Było to małe rodzinne przedsięwzięcie dawnego typu, prowadzone przez parę małżonków. Sklep miał nawet dobre zaopatrzenie, ale Meg wybrała tylko kilka świeżych produktów – owoce, jarzyny i mleko.

– Słyszałam, że przyjechaliście na drugi miesiąc miodowy – powiedziała kobieta przy kasie, wystukując ceny. – Boże, jak ten czas szybko płynie!

– Zgadła pani! – odparł ubawiony Jesse.

– Bardzo przyjemna wyprawa! – stwierdziła Meg, gdy wypakowywali torby z zakupami po powrocie do domu. – Troszkę się przewietrzyłam i odprężyłam, miałam już dość własnego towarzystwa.

– Ja też jestem zadowolony – odparł. Stał przy brzegu kuchennej lady i patrzył, jak Meg chowa produkty. – Jest mi bardzo przykro.

– Z jakiego powodu?

– Że cię pozostawiłem samą przez te kilka minionych dni. No, ale musiałem kilka rzeczy przemyśleć. – udało ci się? – Natychmiast pożałowała zbyt emocjonalnego tonu, jakim zadała pytanie.

– Chyba tak. Wydaje mi się, że powinniśmy zapomnieć o dawnych urazach. O zarzutach, które wciąż jeszcze chcemy stawiać. O hodowanych pieczołowicie wzajemnych pretensjach. Zacznijmy od zera.

Meg zamyśliła się. Było wiele racji w tym, co proponował Jesse. Teoretycznie było to możliwe: ignorować to wszystko, co ich różni i dzieli. Gdyby planowali zbudowanie trwałego współżycia, to nic by z tego zapewne nie wyszło. Skoro jednak chodzi o krótki okres...

Dlaczego nie ułatwić sobie życia w najbliższych dniach. Trzeba ukryć prawdziwe uczucia, te gniewne, gdzieś głęboko w sobie, żeby można cieszyć się... Nie, to jest złe słowo. Raczej, żeby można było tolerować jego towarzystwo przez najbliższy okres. Może uda się im na tyle, że wreszcie będą mogli spokojnie omówić problem Randy'ego. W pierwszych dniach trochę to im wychodziło kulawo, ale jakoś przeżyli drobne tarcia. Żadne z nich nie obróciło się na pięcie i nie wyjechało – groziło to zapłaceniem zbyt wysokiej ceny. Nie wolno niszczyć życia dziecka dlatego, że jego rodzice nie potrafią się porozumieć.

– Zgoda – odparła. – Przedpole oczyszczone. Rozpoczynamy od zera. – Zachichotała nerwowo. – To „zaczynamy od zera” jest sprzeczne całkowicie z moimi przekonaniem, ale przypuszczam, że... dla dobra Randy'ego...

– Ojjoj, Meg! – Powiedział to z takim smutkiem, że szybko podniosła głowę. Jesse podszedł, położył dłonie na jej ramionach. Czas się zatrzymał. Nie mogła drgnąć, mogła jedynie patrzeć w jego twarz, mając serce w gardle i czując pulsujący żar w miejscach, gdzie spoczywały jego palce.

Kącki jego zmysłowych ust podniosły się w leciutkim uśmiechu.

– Oboje zrobimy to dla Randy'ego.

Wziął ją w ramiona. Nie opierała się. Zbyt wstrząśnięta, by protestować. Jak to już było dawno temu, jakże dawno! Stała sztywno, słysząc bicie jego serca, wdychając zapach jego skóry. Kręciło się jej w głowie. Przepełniła ją bolesna rozkosz, zaczęła dygotać.

Przy skroni usłyszała szept:

– Jest nas dwoje, by rozwiązać problem. Nas dwoje stworzyło Randy'ego, dało mu życie. Zawsze będą nas łączyć te więzy.

– Jesse... – chyba głos ją zdradził.

– Wiem, ja wszystko wiem.

Tak zacisnęła wokół niej ramiona, że aż jęknęła. I potem nagle odsunął ją od siebie, uwolnił z uścisku. Pozostawiona sama sobie zachwiała się.

– Może zbyt wiele sobie wyobrażam – powiedział. – Zresztą zawsze to czynię i stąd wynikają często nieporozumienia. Ale wydawało mi się, że jak cię dotknę, przytulę, to uwierzysz w moją szczerłość. Możesz mi zaufać, Meg! Proszę cię, zaufaj. Już nigdy cię nie zranię.

Czy mogła mu wierzyć? Stał tak przed nią silny i jakże prawdziwy, jakże pociągający. Znowu wstrząsnął nią dreszcz na wspomnienie jego uścisku.

– Chyba muszę ci zaufać. I uwierzyć – powiedziała. – Nie mam innego wyjścia.

Ale postanawiam tak jedynie dla Randy’ego, pomyślała.

Meg siedziała rozmarzona na południowym brzegu Czarnej Rzeki, głowę wsparła o wypłukane, pokręcone korzenie starego drzewa. Za sobą słyszała parskanie koni i skrzypienie siodła. Być może nie powinna była ulec pokusie i zgodzić się na wycieczkę konno z Jesse’em. Powinna była odmówić grzecznie, ale stanowczo.

Nie zrobiła tego. Czy będzie żałowała?

– Spokojnie, spokojnie, stary! – Za jej plecami łagodny głos Jesse’a uspokajał rozbrykane konie. Ten aksamitny głos uspokajał jednocześnie jej nerwy. Działał kojąco. Położyła dłonie pod głowę i zamknęła oczy.

Westchnęła głęboko, zawieszona gdzieś między rzeczywistością a sennymi marzeniami. Dni mijały jej teraz znacznie lepiej, ale noce gorzej. Myślała, że skoro minął okres ciągłych śpięć, przyzwyczai się do spania w tym pełnym wspomnień łóżku.

Bardzo się myliła.

Pojawiły się nowe przyczyny i napięcia, znacznie trudniejsze do opanowania. Wszystko wydawało się sprzysięgać, by nieustannie przypominać o tamtych dawnych szczęśliwych dniach.

„Tamte dni” – nieustanne hasło wywoławcze. Przecież to jedynie gasnące minione wspomnienia, usiłowała sobie wmówić. To prawda, że Jesse był jedynym mężczyzną, którego kochała, ale to się przecież dawno skończyło. Zbyt długo żyli osobno, a to, co ich podzieliło, istnieje nadal.

Przecież Jesse jej właściwie nigdy tak naprawdę nie potrzebował. Nie potrzebował wówczas i z pewnością nie potrzebuje teraz! I w tym streszcza się cały problem. To właśnie jest przyczyną wszystkich pozostałych powikłań.

Meg pragnęła być potrzebna. To był dla niej warunek współżycia. Gdyby on chociaż raz powiedział, że nie może bez niej żyć...

– Szszsz!

Usłyszała szelest i męska dłoń zakryła jej usta. Otworzyła szeroko oczy, serce zabiło gwałtownie. Koło niej klęczał Jesse. W jego oczach błyskały isierki śmiechu. Gęste rzęsy prawie dotykały jej policzka. Przepłynęła przez nią fala słodczy. Zasłonięte jego dłonią wargi rozchyliły się z nagłej radości.

– Nic nie mów, wolniutko obróć głowę w stronę rzeki.

Dłonią poprowadził delikatnie jej głowę. Nie stawiała oporu, niezdolna w tym momencie do samodzielnego myślenia bądź działania.

Przeszył ją dreszcz, gdy szeptał jej do ucha. Pochylił się do przodu i wsparł klatkę piersiową o jej plecy.

– Widzisz? – wskazał palcem.

Z początku nic nie widziała. Tylko leniwie płynącą rzekę i las

schodzący prawie do samego brzegu. Po chwili jednak ujrzała pyszczek łani, która chłeptała wodę. Prześliczna sarenka. Aż jej zaparło dech.

Było coś magicznego w całej scenerii. Sielski obraz. Zielona gęstwina, rzeka, dzikie zwierzątko i mężczyzna, który otoczył ją – Meg – ramieniem. Otoczył fizycznie i emocjonalnie.

Sarna podniosła nagle łeb, niespokojna. Stała tak blisko, że Meg widziała ociekające z jej pyszczka krople wody i rozdęte nozdrza. Wielkie ciemne oczy napotkały wzrok Meg. Pojawił się w nich strach. Sarenka w mgnieniu oka wskoczyła zgrabnie w zieloną gęstwinę.

Meg opadła na pierś Jesse'a. Ręce położyła na obejmujących ją dłoniach mężczyzny. Przez chwilę tak ją trzymał, a potem położył na pochyłym pniu drzewa. Z szeroko rozwartymi oczami czekała. Na cokolwiek. Pozwoliła się unieść na chmurce marzeń.

– Tylko jeden raz – powiedział ochryplym głosem. – Muszę sprawdzić, czy naprawdę twoje usta są tak słodkie, jak były niegdyś, czy ja tylko...

– Jesse, nie wolno!

Gdy nachylił się nad nią, podniosła ręce, żeby go odepchnąć. Ale magia chwili okazała się silniejsza. Ich wargi złączyły się w wybuchu namiętności. Poddała się całkowicie obezwładniającej sile jego pocałunku.

Odsunął się. Wpatrywali się w siebie. Jesse wydawał się równie zaskoczony wydarzeniem jak i ona.

– Słuchaj no, mała – powiedział. – Stanęliśmy nad bardzo głęboką wodą. Zanim postanowimy skoczyć, musimy się zastanowić. Potrzebna nam jakaś mała rozrywka, żeby móc spokojnie pomyśleć. Wobec tego propozycja: pojedziemy do naszego czarciego miasteczka na lipcowe święto?

– Zupełnie zapomniałam i już prawie zrezygnowałam... –  
odparła. – Jedziemy!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy wreszcie Jesse znalazł jakieś miejsce do zaparkowania samochodu, w miasteczku już kipiało. Chyba wszyscy mieszkańcy wylegli na ulice.

– Mamy długi spacer do areny rodeo, ale bliżej nie znajduję skrawka miejsca na wóz – stwierdził Jesse.

Były to pierwsze jego słowa od chwili, gdy wyruszyli znad rzeczki do miasta. Meg także milczała przez cały czas. Teraz odpowiedziała dość formalnie:

– Nic nie szkodzi. Mogę się przejść. Wyskoczył z wozu, obiegnął maskę, by podać jej rękę. – dokąd teraz idziemy? – spytała podejrziwie.

– Podążamy za tłumem.

Wszyscy mieszkańcy miasteczka i okolicy w promieniu dziesięciu kilometrów znajdowali się na głównej ulicy i podążali w jednym kierunku.

Meg pomyślała żartobliwie, że tego dnia było w miasteczku za co najmniej milion dolarów kowbojskich butów i dżinsów. Gdy zeszli z parkingu, tłum poniósł ich na południowo-wschodni skraj miasteczka. Wiele kobiet, tak jak Meg, miało na sobie letnie sukienki i sandały, dziewczyny i dzieci – szorty, jednakże przeważające umundurowanie stanowiły dżinsy, kowbojskie buty, wymyślnie ozdabiane koszule, no i stetsony – sławne teksańskie kapelusze.

Lecz nikt lepiej od Jesse'a nie nosił tego umundurowania. Meg spojrzała na niego kątem oka, on też zerknął na nią.

– Zawrzemy przyjaźń? – spytał niepewnym głosem.

– Gdyby to było takie proste – odparła.

Gdyby mieli być tylko przyjaciółmi, gdyby Jesse tak jej nie pociągał, gdyby nie odczuwała takiego pożądania. Teraz, w tym

anonimowym tłumie, stanowiącym barierę, mogła otwarcie się do tego przyznać: pożałowała go. Po tym pocałunku nad rzeką nie potrafiła już temu zaprzeczyć. Przyjaźń byłaby wielką ulgą i rozwiązaniem. Bo przyjaciela można też kochać, ale bez narażania własnego istnienia.

– No to przynajmniej udawaj – powiedział Jesse i ujął ją pod rękę. – No, rozpręż się! – Lekko potrząsnął jej sztywnym ramieniem. – Przyjechaliśmy tu, żeby na chwilę uciec od własnych kłopotów, no i trochę się zabawić.

– Warto by było! – westchnęła.

– Trafiłaś w dziesiątkę!

– Jesteś na swoim terenie, a więc powiedz, od czego zaczynamy?

– Od tego! – Poprowadził ją do kiosku, w którym ochotnicza straż ogniowa miasteczka sprzedawała baloniki.

– Cześć! – powitał ich korpulentny dżentelmen za ladą. Uśmiechnął się do Meg. – Jak się ma dziadzius?

Wyjaśnwszy, że dziadzius ma się świetnie, Jesse kupił dla Meg trzy balony: czerwony, biały i niebieski. Nie uszli daleko, kiedy Meg zobaczyła może czteroletniego szkraba, który trzymając się matczynej spódnicy pożerał wzrokiem kolorowe baloniki. Bardzo miły dzieciak w miniaturowych dżinsach i kowbojskich butach. Natychmiast przypomniał jej Randy'ego.

Uśmiechnęła się do dziecka, dziecko do niej. Ścisnęła Jesse'a za łokieć, żeby zwrócić jego uwagę.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu? – Wskazała głową na balony i na chłopca.

Poszedł za jej wzrokiem.

– Jak się masz, Donna! – powitał matkę chłopca. – Pozwolisz, że ofiarujemy Wielkiemu Wodzowi kilka balonów?

– Jesse James Taggart we własnej osobie! – wykrzyknęła kobieta

rozwierając radośnie ramiona.

– Nie uściśniesz mnie, rzadki gościu?

Jesse rzucił Meg spojrzenie oznaczające „cóż mogę na to poradzić?” i zrobił parę kroków, aby poddać się entuzjastycznemu powitaniu kobiety. Była nią bez wątpienia najstarsza córka Cartera Dobbinsa, Donna. Wcale nie jesteśmy do siebie podobne, pomyślała Meg. Ona jest strasznie... pospolita.

– Chyba nie znasz mego przyjaciela, pana Billy Raya Risleya. – Donna wskazała na rosłego szczupłego kowboja, idącego pół kroku za nią. Risley wyszedł do przodu, twarz miał ponurą. Z ociąganiem podał dłoń. – Billy Ray pochodzi z Waco – wyjaśniła.

– Jestem Jesse Taggart, a to moja żona, Meg.

– Jesse podprowadził Meg bliżej.

Zmarszczki na czole Risleya zniknęły.

– Miło mi państwa poznać – powiedział i skłonił głowę w stronę Meg. – A pana to widziałem podczas rodeo w Houston. Zupełnie nie rozumiem, jak wy tam podczas zawodów wytrzymujecie podobne tortury.

– Z podziwem pokręcił głową.

– Co mądrzejsi przestają – odparł Jesse. – Nie chcemy was zatrzymywać... – Tłum dokoła robił się coraz bardziej gęsty. – Zatratają nas, jeśli nie zejdziemy z drogi. Meg chciała dać tylko te balony chłopcu, jeśli pozwolicie.

– To bardzo miło z pani strony – odezwała się Donna. Położyła dłoń na ramieniu chłopca.

– Chcesz baloniki, Shane? Powiedz, proszę, dziękuję pani Taggart.

– Proszę, dziękuję – powiedział Shane i schował buzię w spódnicę matki.

Meg uklękła obok chłopca.

– Ja też mam synka, który bardzo lubi balony.

– A gdzie jest twój synek? – spytał chłopiec, sięgając po balony.

– Z wizytą u swojego dziadzia. – Przełknęła z trudem ślinę. Ostrożnie przekazała sznureczki balonów chłopcu, owijając je dokoła paluszków. – Trzymaj mocno sznureczki, żeby nie uciekły. – Pocałowała chłopca w buzię i wstała.

Uśmiechając się, Jesse i Meg poszli dalej. Meg jeszcze usłyszała wołanie chłopca:

– Hej, hej, dziękuję pani!

Cały ten drobny incydent w przedziwny sposób podniósł Meg na duchu. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj cieszyła się tym, co ją jeszcze może tego dnia spotkać. Dla ochrony przed tłumem trzymała się mocno ramienia Jesse'a.

Gdy podeszli do zagajnika, w którym odbywał się piknik, tuż koło areny rodeo, Meg usłyszała wołanie. Rozejrzała się i zobaczyła Laurel Anderson, sprzedawczynię ze sklepiku. Biegła w ich stronę.

Zbyła Jesse'a krótkim „jak się masz?” i spytała Meg:

– No i jak tam wszystko idzie? – Uśmiechnęła się. Meg także odpowiedziała uśmiechem.

– Dziękuję, bardzo dobrze. Widzę, że warto było tu przyjść na święto niepodległości. – Głową wskazała tłum dokoła i czerwono-biało-niebieskie wstęgi i rozety ozdabiające wszystkie budki, płoty i drzewa.

– Skromniejsze to od spektaklu w Showdown, ale też niezłe. Gdzie siedzicie? Jeśli nie macie innych planów, to zapraszam na mój koc koło estrady dla orkiestry. Jestem tam ze swoją gromadką. Dzieci i wnuki. Za chwilę zaczną się przemówienia. Trzeba posłuchać. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Meg spojrzała pytająco na Jesse'a.

– Laurel tylko żartuje – odparł. – Po to, żeby ludzie słuchali,

miejscowi politycy musieliby im płacić. – W naturalnym geście objął Meg ramieniem. – Odwiedzimy was wszystkich później – zwrócił się do Laurel – pod warunkiem, że będzie na nas czekał twój orzechowy tort.

– Obiecuje mi tak co roku. Ja zostawiam tort, a on nigdy po niego nie przychodzi. Już mam w kuchni kilka skamieniałych porcji z ostatnich lat. – Pomachała im wesoło na drogę.

– Lubię ją – powiedziała Meg. – Miła kobieta.

– Większość mieszkańców Teksasu jest miła, jeśli im się dobrze przyjrzeć – odparł.

Obrzuciła go baczny spojrzeniem. Miał zbyt niewinną minę.

– To samo dotyczy większości Bostończyków – odparowała.

Właściwie to oboje mamy rację, pomyślała sobie.

Usłyszeli dźwięki muzyki. Stanęli, by posłuchać. Meg zauważyła, że dwóch mężczyzn z gitarami potrafi wydawać nadspodziewanie dużo dźwięków.

Przyznawała także, że ta muzyka w przedziwny sposób trafia jej prosto do serca. I oto Meg, która przedkładała ponad wszystko bostońską orkiestrę filharmoniczną, złapała się nagle na tym, że wybija takt nogą i klaszcze tak jak wszyscy inni dokoła. Entuzjazm zebranych pobudził z kolei muzyków do jeszcze większego wysiłku. Zakończyli popis akordami, które wywołały huragan braw.

– To było naprawdę wspaniałe! – wykrzyknęła Meg. Przytulona do ramienia Jesse'a spojrzała w jego twarz. Bardzo chciała dzielić z nim tę chwilę.

Nie przyszło jej nawet na myśl puścić jego ramię, gdy szli w kierunku kiosków ze smakołykami.

– Czy to zawodowcy? – spytała.

– Nie, grają, bo kochają muzykę. Jeden z nich to agent towarzystwa ubezpieczeniowego, drugi magister farmacji z

miejscowej apteki.

– Hej, hej, chodźcie tutaj! – To był Joe Bob przed budą z papierowym transparentem obwieszającym, że tutaj sprzedaje się najwspanialsze chili.

Stał koło potężnych rozmiarów żelaznego kociołka, zawieszonego nad rozpalonymi polanami, a w celu zwrócenia uwagi na siebie i swoje pokrzykiwania wymachiwał długą chochłą. Wokół niego cisnął się tłum kobiet i mężczyzn.

Żaden Joe Bob nie popsuje mi tego dnia, pomyślała Meg idąc za Jessem. Nie dopuszczę do tego!

– Proszę pociągać nosami, proszę wachać, delektować się! – wykrzykiwał Joe Bob mieszając w kotle chochłą. – To jest najlepsze chili ze wszystkich, jakie ktokolwiek kiedykolwiek przyrządził!

Jesse i Meg posłusznie zaczęli wdychać ostry aromat. Jesse robił to bez zmruczenia oka, Meg zaś cofnęła się, jakby porażona. Jeśli powietrze nad kotłem pachniało tak, że łzy napływały do oczu, to jaka jest sama potrawa? Nie miała zamiaru próbować.

Jesse był jednak odważniejszy.

– Bo ja wiem – powiedział. – Wcale nie jestem jeszcze pewien, że to jest takie cudowne chili. Muszę spróbować, żeby się upewnić.

– Oczywiście! – Joe Bob zawołał w stronę budki: – Suzi, mamy tutaj ochotnika do spróbowania. Daj mi kubek, kochanie!

Suzi to moja asystentka – wyjaśnił Jesse'owi mrugając porozumiewawczo. – Jedna z moich klientek. Gości na rancho i bardzo lubi towarzystwo kowbojów.

Meg po chwili zobaczyła, dlaczego to Joe Bob czynił takie uprzejmości Suzi – pięknej Suzi, która wtańcowała po chwili ze stertą papierowych kubków w jednej, ugarnirowanej plastikowymi paznokietkami, dłoni i z garścią plastikowych łyżek w drugiej. Prawie tak jak wszyscy dokoła miała na sobie strój kowbojski, ale w

odróżnieniu od innych jej strój był tak obcisły, że wydawało się, iż zamknięta w nim dziewczyna za chwilę się udusi. Jej rozciągliwe błyszczące spodnie wpijały się w ciało, perłowe zaś zapinki na półprzezroczystej koszuli były rozpięte aż do piersi, bo żadne chyba naciąganie nie pozwoliłoby połączyć obu części.

Suzi potrząsnęła swą blond grzywą, uformowaną w stylu ulubionym przez hollywoodzkie gwiazdeczki, i rzuciła w stronę Jesse'a topiące serca spojrzenie.

– Cześć, kochanie! – powiedziała, siląc się na południowy akcent. – Mam właśnie otrzymać rolę we wspaniałym filmie i ćwiczę teksańską wymowę. Powiedzcie, jak mi to wychodzi, ludzie!

– Nienadzwyczajnie, koo-chaa-niee! – odparł Joe Bob i wyrwał jej z ręki piramidkę papierowych kubków. Wziął jeden kubek i chochłłą wlał śmiertelną dawkę swojego chili. Podał Jesse'owi, świadomie ignorując Meg.

Suzi zrobiła obrażoną minkę i tupnęła nogą, chyba tylko po to, aby zwrócić uwagę na jej kształtność i długość oraz rzekomo kowbojski but z dziesięciocentymetrowym obcasem.

– Jesteś wstrętny! Ćwiczyłam i ćwiczyłam. I jestem pewna, że tym razem powiedziałam dobrze.

– Akcent to bardzo trudna rzecz – pocieszył ją Jesse. – Trudniejsza, niż się ludziom zdaje. – Przerzucił wzrok ze swojego kubka na pęk łyżek nadal trzymany kurczowo przez Suzi.

– O, na pewno! – potwierdziła Suzi wydając się uszczęśliwiona, że znalazła kogoś, kto z sympatią ocenia jej wysiłki. – słowa używacie też jakieś inne. – Zachichotała. – A mężczyźni tutaj są tacy, no też inni. Ja jestem profesjonalistką, wszystko widzę...

– Racja, racja i jeszcze raz święta racja, moja ty profesjonalistko! – powiedział Joe Bob. – Zabierz no swoje profesjonalne cycuszki za ladę i dokończ napis, nad którym męczysz się od rana. No i co, Jesse,

moja ambrozja gotowa do konsumpcji?

Jesse ostro spojrział na Joe go Boba i jakby przepraszająco na obie kobiety. Łyżką wydobył z kubka kawałek mięsa duszonego w chili i zaofiarował Meg, która z fascynacją przyglądała się tej przedziwnej parze i słuchała rozmowy.

– Nie, dziękuję bardzo, ale pasuję. – Uśmiechnęła się do męża. – Trudno, tchórz ze mnie. Przyznaję otwarcie.

– No dobrze, więc ja się poświęcę. – Jesse podniósł łyżkę do ust, ale nim spróbował zawartości, dobrze się jej przyjrzał. Następnie rozegrał całą pantomimę: cmokał, smakował, przechylał głowę z prawa na lewo, kiwał nią, marszczył brwi, przymykał oczy.

Megomalże nie roześmiała się na głos widząc, jak Joe Bob przestępuje niespokojnie z nogi na nogę czekając na werdykt. Wreszcie nie wytrzymał i spytał:

– No i co? Jak ci smakuje?

– Joe, mogę ci powiedzieć jedno... – zaczął po dłuższej chwili zastanowienia Jesse – mogę ci powiedzieć, że to chili jest... – zrobił długą pauzę – najlepsze, jakie udało ci się kiedykolwiek przyrządzić.

– Słyszycie wszyscy? – wykrzyknął Joe Bob odetchnąwszy z ulgą.

– Jest mocne jak piekło...

Tylko że... Joe Bob zareagował na owo „tylko że”, jakby mu kto kubeł zimnej wody wylał na głowę.

– Tylko że co? – ryknął. – Jakie, znowuż tylko że?

– Joe Bob, drzesz się jak zarzynany prosiak – odparł spokojnie Jesse, biorąc do ust kolejny kawałek mięsa. – Najlepsze ze wszystkiego, *co* kiedykolwiek zmajstrowałeś, tylko że ciut ciut zbyt pomidorowe.

– Co takiego? – Joe Bob cały poczerwieniał i zamierzył się drewnianą chochlą na Jesse’a.

Śmiejąc się głośno Jesse zrobił unik, chwycił Meg za rękę i pociągnął za sobą przez tłum w kierunku kiosku z piwem. Duszkciem wypił pół papierowego kufła piwa, potem złapał głęboki oddech.

– Takie to było ostre, że mogło wypalić gardło. Tym razem Joe Bob trochę przesadził. Jeśli poczęstuje tym jakiegoś frajera ze Wschodu, to trzeba będzie robić biedakowi transplantację jamy ustnej.

Podał Meg kubek z resztą piwa. Po chwili wahania przyjęła. Nie przepadała za piwem i pociągnęła tylko jeden łyżeczek. Był to raczej przyjazny gest wobec Jesse'a niż zaspokajanie pragnienia.

– To dlaczego mu tego nie powiedziałaś wprost, tylko mówiłaś coś o pomidorach? – spytała.

Jesse przesunął kapelusz na tył głowy.

– Dwa powody. Pierwszy: on tylko na to czekał, że mu powiem, iż chili jest za ostre. Wtedy by mnie wyśmiał i nazwał mięczakiem, który nie trawi teksańskiego jedzenia.

– Wy, mężczyźni! – powiedziała Meg.

– Na to ci nic nie odpowiem. – Skończył piwo i wyrzucił kubek do pojemnika na śmieci.

– A drugi powód? – dopomniała się Meg. Pozwoliła się wziąć pod rękę i prowadzić w kierunku areny rodeo.

– Joe Bob od lat opowiada wszystkim, że do swojego chili używa specjalnych importowanych pomidorów i że dlatego jest ono takie dobre. Ciągłe o tym gada, bez względu na to, czy kto chce słuchać, czy nie. W rzeczywistości tam nie ma w ogóle pomidorów. Ani niczego innego, co rzekomo Joe Bob kładzie do kotła. Nie ma wężów, nie ma wnętrzności oposów...

– Wnętrzności oposów? Brrr!

– Taka tam gadanina. – Przyciągnął ją ramieniem do siebie, aby uchronić przed potrąceniem przez gromadkę rozchichotanych

nastolatek. – Prawdziwy frajer, który przyjeżdża z daleka, we wszystko jest gotów uwierzyć. A jeśli idzie o Tekszańców, to też we wszystko uwierzą, gdy chodzi o chili czy rożen bądź grill. Chili to część mistyki Teksasu.

Zbliżyli się do wysokiego drucianego ogrodzenia areny rodeo. Po prawej były zamknięte pomieszczenia, z których wyjeżdżały konie i kowboje. Blżej po lewej znajdowały się boksy, gdzie rumaki już przygotowane czekały na swoją kolej. Na otaczającym arenę paśmie ziemi panował nieustanny ruch – tłumek oglądał i podziwiał czworonożnych i dwunożnych zawodników.

– Będą tu później jakieś zawody? – spytała Meg zastanawiając się, dlaczego Jesse nie przyszedł odpowiednio ubrany na taką ewentualność.

– Od lat nie ma tu prawdziwych zawodów – odparł odwracając głowę od areny. – Ot, przychodzą kowboje, trochę pobaraszkuje, ale to nie żadne współzawodnictwo.

Komuś zerwał się z uwięzi gniadosz. Nawet dla niewprawnego oka Meg koń wydawał się groźny. Siedzący na nim chłopak, najwyżej szesnastolatek, ścigał wodze, ile miał sił. Koń się szarpał, chłopakowi łokcie latały jak skrzydła, stopy obijały się o koński brzuch. Koń popędził wreszcie prosto ku zamkniętej bramie areny, nabierając szybkości z każdym ułamkiem sekundy.

– Jasna cho...! – syknął Jesse, chwycił się dłońmi górnego skraju ogrodzenia, podciągnął się, czepiając noskami butów drucianej siatki. – Ten przeklęty głupek... Koń ma w pysku wędzidło! Cholera!

Na widok rozszalałego konia z piersi obserwującego wszystko tłumy wydarł się okrzyk przerażenia. Niemalże w ostatniej chwili gniadosz, unikając czołowego zderzenia z bramą, skręcił gwałtownie w lewo i młody jeździec otarł jedynie nogą o sztachety.

Koń pognał w przeciwnym kierunku, nie reagując na wysiłki

jeźdźca rozpaczliwie ściąającego wodze. Chłopak był śmiertelnie przestraszony, a także zawstydzony i upokorzony. Meg tak odczytywała jego wyraz twarzy. Na pysku rumaka pojawiła się piana. Łypnął białkami, przelatując jak huragan w pobliżu Meg. Mignęła jej także biała jak chusta twarz chłopaka.

Jesse zeskoczył na ziemię.

– Billy Vaughn jest durniem, pozwalając swemu synowi dosiadać nieujeżdżonego konia! – wybuchnął.

Zaczął biec. Tylko dzięki płaskim obcasom Meg mogła mu dotrzymać kroku. Przebiegli za trybunami, dokoła, na drugą stronę terenu rodeo, gdzie znajdowały się zagrody dla koni. Jesse tak nagle się zatrzymał, że Meg wpadła na niego z impetem.

Początkowo nie mogła się zorientować, co tak przykuło uwagę Jesse'a. Chwilę później usłyszała głośny trzask bicia i zobaczyła chłopaka nadal pędzącego na rozszalałym koniu. Trzymał wysoko podniesioną rękę z gotowym do zadania kolejnego ciosu skórzanym batogiem.

Gniadosz wyładował swoją złość stając nagle dęba. Ludzie rozbiegli się, jak poniesione podmuchem wiatru zeszcłe liście. Chłopak zaś, całkowicie zaskoczony manewrem konia, spadł z jego grzbietu na ziemię. Uwolniony od ciężaru jeźdźca koń ruszył prosto w kierunku gromadki dzieciaków, idących pod opieką matek.

Meg głośno krzyknęła i rzuciła się w stronę dzieci, wśród których rozpoznała synka Donny Dobbins. Rozłożyła szeroko ramiona, jakby w ten sposób mogła osłonić dzieci przed niebezpieczeństwem.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że już nie ma koło niej Jesse'a. Przeszyło ją uczucie przeraźliwego strachu. Spojrzała za siebie i zobaczyła, że Jesse rzucił się, by poskromić rozszalałe zwierzę.

Zamarło w niej serce w przekonaniu, że rumak rozdepcze go kopytami. Niemalże w ostatniej chwili Jesse skoczył. Jednym ramieniem opasał łeb zasłaniając koniowi oczy i zmuszając go do opuszczenia głowy. Drugą ręką uchwycił fruujące luźno wodze. I tak trzymał się, wbijając obcasy butów w miękką ziemię jak wówczas, gdy poskramia się woły. Koń z rozpędu obrócił się wokół własnej osi ciągnąc za sobą Jesse'a. Nic nie widząc, zgubiony i przerażony potknął się i opadł na jedno kolano. Wtedy Jesse chwycił gniadosza za grzywę i dosiadł go.

Oklaski i okrzyki wyrwały Meg z transu. Krótkie spojrzenie upewniło ją, że dzieci są już bezpieczne. Teraz ważny był jedynie Jesse. Wpakowała sobie pięść do ust, aby nie krzyczeć z przerażenia.

Nie było jednak najmniejszego powodu do paniki. Jesse był najlepszym z najlepszych. Siedział w siodle, jakby to on je wynalazł. Koń próbował różnych manewrów, stawał dęba, skakał, ale Jesse był jak zrośnięty ze zwierzęciem, które nie miało najmniejszych szans pozbycia się jeźdźca.

Ktoś z bardziej przytomnych widzów otworzył bramę i Jesse po paru protestach konia wprowadził go w obręb areny. Groźba minęła. Kiedy jednak konny stajenny podjechał, żeby pomóc Jesse'owi w zsiadaniu, tłum zaczął protestować, a jakiś młody głos wykrzyknął: „Ujeżdż go, kowboju”. Do tego wyzwania dołączyli się inni.

Meg wdrapała się na drewniany płot w pobliżu otwartych zagród. Widziała wysoko podniesioną głowę Jesse'a i łyskające białe zęby. Krótkim ruchem dłoni owinął wokół nadgarstka wodze. Zdarł z głowy kapelusz i zaczął nim wymachiwać.

A tłum szalał.

Serce Meg waliło aż do bólu. Nigdy przedtem nie widziała takiego podniecenia tłumu, nawet podczas rodeo oglądanych w Cheyenne czy Denver. Po raz pierwszy chyba zaczęła rozumieć,

dlatego tyle kobiet poddaje się charyzmatowi kowbojów.

Jesse był naprawdę wspaniały. Ponieważ jednak ten koń nie był dla niego żadnym wyzwaniem, Meg zdała sobie sprawę, że jej mąż daje zebrany po prostu to, czego pragnęli – widowisko. Kiedy gniadosz przestał wierzgać i stawać dęba, Jesse przeszedł z nim w galop w poprzek areny, od skraju do skraju. Na każdym skraju ściągał wodze i rumak stawał jak wryty, jakby na nieprzekraczalnej linii. Wkrótce już, prowadzony pewną ręką, skakał w lewo, skakał w prawo, niemalże chodził tyłem. Ot, zachowywał się jak całkowicie ujarzmiony łagodny konik.

Jesse zjechał z areny, znów powiewając kapeluszem, wśród wiwatów i oklasków zebranych. Nie zsiadając podjechał do Meg, zatrzymał się przed nią i spojrzał z wyzwaniem w szarych oczach. Pomyślała sobie, że Jesse stoi i patrzy z góry, jak średniowieczny rycerz, który oczekuje nagrody od swojej bogdanki.

Bezwiednie sięgnęła po niebieską przepaskę zawiązaną w kokardę na sukience. Rozwiązała kokardę jednym pociągnięciem i podała mężowi.

– Byłeś absolutnie wspaniały! – wykrzyknęła podniecona. Nie miała pewności, czy usłyszał jej słowa w ogólnym tumultcie.

Jesse stanął w strzemionach i pochylił się, by przyjąć z ręki Meg nagrodę. Potem obrócił konia i odjechał na środek areny. Wysoko podniesionym niebieskim proporcem targał wiatr. Oklaskom tłumu nie było końca. Wszyscy szaleli. Meg była bardzo dumna z męża.

Kiedy Jesse powrócił, zsiadł z konia i zarzucił mu wodze na łeb. Gniadosz stał spokojnie, nieco zdyszany, przewracając białkami oczu. Meg zeszła z płotu w chwili, kiedy do konia podbiegł potężnej budowy mężczyzna o czerwonej twarzy, z sumiastymi wąsami i chwycił za wodze.

Jesse wcisnął się między niego a konia i powiedział ostrym

tonem:

– Ostrzegam cię, Billy Vaughn, że jeśli raz jeszcze pozwolisz dosiąść konia twojemu szczeniakowi, zanim na tyle zmadrzeje, żeby umieć dosiadać półdzikie konie, to oberwiesz ode mnie osobiście. Chłopak mógł się zabić.

– Daj już spokój, Jesse! – Billy Vaughn cały się zgarbił. – Wiem, wiem. Moja wina. Bardzo mnie to rąbnęło. Sprzedaję tego konia. Tak, proszę szanownego pana, tego konia już u mnie nie ma! – Po chwili dodał: – Sprzedałbym i mojego szczeniaka, gdyby znalazł się ktoś głupi, kto go kupi.

– No, dobrze – powiedział Jesse z niesmakiem.

– Szczeniaka od ciebie nie kupię, ale wezmę konia. Przywieź go do mnie jutro. Wystawię czek.

Uśmiech rozjaśnił twarz Vaughna.

– Wy, Taggartowie, nie macie sobie równych, jeśli idzie o kupowanie koni. Macie oko. – Klepnął się po udzie. – To jest wspaniały koń. Troszkę żywy, ale cóż to dla ciebie takiego ujeździć. Nie będziesz żałował. Wiem, że nie pożałujesz.

– Już żałuję, ale słowo się rzekło. – Obaj mężczyźni podali sobie ręce. Dopiero wtedy Jesse puścił wodze. Jeszcze raz dziękując wylewnie, Vaughn odprowadził całkowicie już uspokojonego konia.

– Meg! – Jesse zwrócił się do żony i wyciągnął do niej rękę.

Meg zdała sobie nagle sprawę, że coś w ich wzajemnym stosunku uległo zmianie. Zaistniałe przed chwilą niebezpieczeństwo zniosło barykady, które przeciwko sobie wznosili. Umieściła swoją dłoń w jego dłoni.

– Dobra robótka! – Joe Bob wcisnął się między nich.

Odsunięta na bok Meg była wściekła. Nie lubiła być ignorowana. Jesse spojrział na nią znacząco. Wzruszyła ramionami.

Za Joe Bobem płatała się Suzi. Kiedy Joe Bob wreszcie się

odsunął, usiłowała rzucić się Jesse'owi na szyję.

– Och, jaki pan był wspaniały! Uwielbiam mężczyzn, którzy są silni i umieją poskramiać...

Jesse zrobił unik i planowany przez nią pocałunek nie trafił w usta, ale obsunął się na kołnierzyk koszuli, pozostawiając na jasnoniebieskiej materii jaskrawą plamę.

– Jak to dobrze, że pańska żona wszystko widziała – powiedziała zaśmiewając się. – W przeciwnym razie nie byłoby panu łatwo wyjaśnić pochodzenie tej plamy.

Meg poczuła nagłą suchość w ustach. Spojrzała na Jesse'a, który również wydawał się zaskoczony. Natomiast w oczach Joego Boba pojawił się chytry wyraz.

Chciała koniecznie porozmawiać z Jesse'em, ale był dosłownie obłożony przez wielbicieli. Nie mogła mieć do nich pretensji – zanim został jej mężczyzną, był ich chłopakiem. Czy kiedykolwiek został naprawdę jej mężczyzną? Donna też go objęła, a jej synek, Shane, podziękował uściskiem.

Na szczęście zaczęła grać miejscowa amatorska orkiestra. Powoli oczy obecnych zaczęły zwracać się ku podium. Meg i Jesse pozostali nagle sami, o ile można było mówić o samotności pośród świętującego tłumu.

Jesse otworzył szeroko ramiona i Meg bez wahania wtuliła się w nie. Wzdychając z zadowoleniem, oparła głowę o jego pierś.

– Okropnie ryzykowałeś – szepnęła. – Nie wtedy, kiedy już siedziałeś na koniu, ale kiedy mu zagroziłeś drogę i skoczyłeś.

– Widziałem te dzieci i pomyślałem wtedy o Randym – powiedział. – widziałem ciebie. Drogi Boże, Meg, gdyby tobie się coś stało...!

Poczuła jego pocałunek na czubku głowy i jeszcze mocniej zacisnęła wokół niego ramiona. Czuła się bardzo bezpieczna.

Usłyszała swój głos wypowiadający słowa, które zdumiały ją tak samo, jak musiały zdumieć i jego:

– Wiesz, Jesse, kiedy ta seksbomba, Suzi, próbowała cię pocałować i pozostawiła szminkę na twoim kołnierzyku... to pomyślałam... powiedz, czy tamtym razem, wtedy, kiedy tak się rozzłościłam, było tak samo?

Dobrze wiedział, o jakie „tamtym razem” chodzi.

– Podobnie.

– No to dlaczego mi wtedy wszystkiego nie wytłumaczyłeś? – Zaciśnęła palce na jego koszuli.

– A jakie by to miało znaczenie? Z tłumaczenia nic nie wychodzi.

– Mówił rozgoryczonym głosem.

– Wydawało ci się, że masz dowody i wyciągnęłaś fałszywe wnioski. Gdybyś znalazła damskie majtki w kieszeni mojej kurtki, to bym jeszcze zrozumiał. Wiedziałbym, że coś takiego może cię rozwścieczyć. Ale moim zdaniem zwykła szminka nie powinna była...

– Kiedy mi teraz tłumaczysz... Jesse – zaczęła mówić szeptem – czy ty zdajesz sobie sprawę, że gdybyś mi to wtedy od razu w ten sposób wyłożył, to może minione pięć lat wyglądałyby zupełnie inaczej?

– Meg! – zaciśnął na niej ramiona. Nagle i mocno.

– Chodźmy do domu!

Jeszcze nie! Wiedziała, co Jesse sugeruje, ale jeszcze nie chciała się w pełni deklarować. Musi mieć czas na zaakceptowanie nowej sytuacji, nowych wzajemnych stosunków. Położyła obie dłonie na jego piersiach.

– Nie śpiesz się zanadto – szepnęła. – Później mają tu być sztuczne ognie. Fajerwerki. Chyba nie powinniśmy ich opuszczać.

Uniósł jej dłonie do ust. Patrzyli sobie w oczy.

– Nie wolno nam opuścić żadnego fajerwerku –powiedział.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jesse przyniósł dla Meg porcję mięsa z rusztu – potężny kawał wołowego teksańskiego mostku pieczonego na drewnie z mimozy. Na papierowym talerzu leżała jeszcze gorąca kolba kukurydzy i kilka płatów olbrzymich pomidorów. Usiedli z tym wszystkim na trybunie i jedząc patrzyli na dzieciaki, które na arenie uczestniczyły w konkursach: bieg na trzech nogach, bieg w workach, wyścigi z jajkiem...

Meg była szczęśliwa. Chyba nigdy w życiu tak się nie śmiała i tak dobrze się nie bawiła. Wszystkie bariery, jakie wokół siebie zbudowała, pękły i rozpadły się w pył niby mury Jerycha.

– Lemoniady?

Pytanie wyrwało ją z rozmarzenia. Z uśmiechem przyjęła propozycję. Piła łąpczywie. Miała wielkie pragnienie na wszystko.

– Co będzie dalej?

– A co byś chciała, żeby było dalej? – Ogorzała twarz Jesse’a rozjaśnił uśmiech.

Zakrztusiła się. Musiała odchrząknąć, nim odpowiedziała pytaniem:

– Ogie sztuczne?

– Lubię kobiety, które myślą tylko o jednym – zażartował. – Łaskawa pani chce fajerwerku, będzie miała fajerwerk.

Ale to dopiero miało nastąpić za parę godzin, kiedy się ściemni. Było dużo czasu na włączanie się po całym terenie pikników, gier i zabaw. Chodzili trzymając się za ręce.

W budzie miejscowego klubu rezerwistów Jesse wygrał paskudnego niedźwiadka z pluszu, nadziejąc bezbłędnie stare podkowy na wbity o paręnaście metrów od bariery żelazny słupek.

– Czy jest coś, w czym byś nie celował? – spytała Meg

zartobliwie, tuląc do piersi niedźwiadka, jakby to było najcenniejsze z boskich stworzeń.

– Chyba nie ma – odparł poważnie, ale jego wzrok rzucił wyzwanie. – Chyba wszystko świetnie potrafię!

Lokalna orkiestra nie należała do klasy bostońskich filharmoników, a i pokaz ogni sztucznych nad piknikową polaną nie dorównywał dorocznemu spektaklowi nad bostońskim portem, niemniej Meg nigdy jeszcze nie bawiła się tak dobrze. Siedziała na trawie oparłszy się plecami o drzewo i patrzyła z góry na twarz Jesse'a rozświetloną czerwonym światłem racy. Leżał wyciągnięty na ziemi z głową na kolanach Meg, która palcami przeczesawała jego ciemne włosy. Jesse wydawał się bardzo zadowolony ze swojej pozycji i odprężony. Jednakże wiedziała dobrze, że wewnątrz jest spięty tak samo jak ona. To wewnętrzne napięcie rozpoznawali oboje przy każdym dotyku.

Wielki wspaniałły huk pękającej rakiety. Zaraz następny i następny. Strumień po strumieniu i deszcz za deszczem kolorowych iskier, całe ich kaskady rozjarzały ciemne ponure niebo. Ochy i achy towarzyszyły tej wspaniałej iluminacji teksańskiej nocy, a potem jeden wielki chór głosów wzbił się w niebo, gdy w czerni rozkwitła świetlista flaga Stanów Zjednoczonych, a obok niej flaga stanu Samotnej Gwiazdy – Teksasu. Oklaskom i okrzykom nie było końca.

Wreszcie zgasła ostatnia iskra. Przez chwilę panowały absolutne ciemności, ale nagle ktoś włączył główny kontakt i wszędzie dookoła rozbłysły światła. Powoli masa ludzka ruszyła w kierunku miasteczka.

Meg jeszcze siedziała, prawie bez ruchu, z uwagą skupioną na mężu, który spoglądał w jej oczy nieprzeniknionym wzrokiem.

– Wracamy, Meg? – spytał.

Poczuła pulsowanie żyłki w pobliżu krtani. Wybór był jej.

Impulsywnie musnęła palcami po jego wargach. Jakby stężał, ale patrzył tak samo.

Usłyszała swój własny głos:

– Tak, Jesse, wracamy. Jestem gotowa. Tak.

Czy w istocie była gotowa do zrobienia tego kroku?

Jadąc furgonetką obok Jesse'a w tę suchą gorącą teksańską noc, Meg zaczęła się zastanawiać. Tak, Jesse był najbardziej podniecającym mężczyzną, jakiego знаła. Tak, piekłem było mieszkanie z nim pod wspólnym dachem bez wzajemnego zbliżenia.

Jednakże to wszystko, co ich dzieliło, także nie było błahe. Jesse to mężczyzna specjalnego gatunku. Życie było dla niego nieustannym przeżywaniem męskiej fantazji kowboja – samowystarczalnego odludka, pożądanego przez wszystkie kobiety. Taki był zawsze. Nie wierzyła, by się zmienił. Nie był skory zrezygnować ze swoich kawalerskich upodobań.

Ona reprezentowała mentalność wschodnich stanów, on mentalność niegdyś Dzikiego Zachodu. Jesse był spontaniczny, ona działała z rozmysłem, on ignorował opinię publiczną, ona się jej zawsze podporządkowywała.

Zbyt wiele przemawiało na niekorzyść ich związku. Wyskoczyła z furgonetki, jeszcze nim całkowicie się zatrzymała przed ich domem. Była już w połowie schodków na ganek, kiedy ją dopędził. Wziął ją na ręce i zaniósł do drzwi, które otworzył jednym dobrze wycelowanym kopnięciem.

Na chwilę zatrzymał się w progu ciężko dysząc. Potem wszedł i zamknął drzwi takimże kopniakiem.

– Brakowało mi ciebie – powiedział ochryplym głosem.

W domu było ciemniej niż na dworze. Pogrążona w całkowitym mroku odczuwała wszystko stokrotnie intensywniej – jego ramiona, jego pierś falującą pod jej policzkiem, dzikie walenie własnego

serca.

– Jesse... – We własnym głosie usłyszała lęk i niepewność. Wsparłszy dłoń o jego pierś usiłowała się od niego oderwać.

W odpowiedzi zacisnął ramiona.

– Sza! Nic nie mów. Jeszcze nic nie mów! Musimy się przyzwyczaić do myśli, że znów jesteśmy razem. Poczekaj... – Jego głos zarazem uspokajał i kusił.

Była zadowolona, kiedy ją opuścił na ziemię. Nie stanęła jednak o własnych siłach, gdyż tuliły ją jego ramiona. Nigdy jeszcze nie czuła się tak wspaniale. Jęknęła cicho.

– Tak – wyszeptał. – Tak jest bardzo dobrze. I tak nam zawsze było dobrze ze sobą, bez względu na to, jak się wszystko dookoła psuło. I widzę, że o tym nie zapomniłaś. A już z początku myślałem, że nie pamiętasz.

Całował jej szyję, skroń, ucho. Jego oddech podniecał i drażnił; zaczęła się wić, tulić, wczepiać w niego, żądać więcej.

– Jesse... – wyjąkała, przechylając do tyłu głowę i odsłaniając szyję jego pocałunkom. – Ja... nie wiem, nie jestem pewna, czy powinniśmy...

Wpił wargi w szczyt jej piersi powyżej dekoltu, tłumiąc własny uśmiech. Ugięła się przed nim jak trzcina podczas huraganu.

– To jest nieuchronne – powiedział wędrując ustami po jej szyi. – Jesteś moją żoną. Jakże mogłem pozwolić, byś na tak długi czas o tym zapomniiała!

Podniósł głowę i ich wargi spotkały się w namiętym gorącym pocałunku, który wyrażał pragnienie wymazania z pamięci wszelkich urazów z przeszłości. Wziął ją w ramiona i zaniósł do wielkiej sypialni, w której spędzała bezsenne godziny podczas niekończących się nocy, snując marzenia jakże bliskie obecnej rzeczywistości. Przyłgnęła do niego. Ułożył ją na ich małżeńskiej haftowanej kołdrze

otrzymanej w ślubnym prezencie.

Pragnęła go, pożądała, potrzebowała, ale jednocześnie przerażała ją jakaś głęboko tkwiąca myśl. Wiedziała, że i on jej pragnie, ale na jak długo?

Patrzył na jej twarz oświetloną promieniami zagląającego przez okno księżyca.

– Ognie sztuczne! Fajerwerki! – powiedział roznamiętnionym głosem. – Milion rac i ogni sztucznych to jeszcze mało, by opisać moje uczucia.

I to chyba mówi za wszystko, pomyślała Meg odsuwając resztę drażących ją wątpliwości.

Zasnęli, a potem obudzili się. Było ciemno. Nie zdawała sobie sprawy, ile godzin upłynęło.

– Musimy porozmawiać, kochanie – wydobyła z siebie oplatając go ramionami.

– Później. Teraz... musimy sprawdzić... co się stanie, kiedy...

Poddała się natychmiast podniecającemu dotykowi jego warg, dłoni, zmysłowemu ciału i głosowi. Poddała się całkowicie, ponieważ... ponieważ po prostu go kochała. Ponieważ świeciła jakaś szansa dla nich obojga. Mimo wszystko. Ponieważ zbliżył się do niej nie tylko z pożądaniem, ale i z tkliwością, a jej zdesperowane serce rozumiało tkliwość jako miłość.

Znacznie później spróbowała jeszcze raz:

– Jesse, musimy porozmawiać...

– Czy naprawdę musimy teraz? – ziewnął i mocno ją przytulił.

Roześmiała się słysząc ton rozżalenia w jego głosie. Ustąpiła:

– Musimy porozmawiać, choć nie musi to być teraz. Ale zamawiam jako pierwsza temat, z samego rana.

– Dobrze, dobrze – powiedział z ulgą, bardzo sennym głosem. – Jeśli nalegasz, to niech tak będzie. Z samego rana.

– Nalegam. Obiecujesz?

– Dobrze. – Ziewnął.

– To bardzo ważne – ciągnęła. – Wcale się nie pałę do tej rozmowy. Tylko, że... Byłam zupełnie nie przygotowana na... powstałą sytuację. Teraz musimy zdecydować, co z tym zrobimy. – Czekala na jakąś odpowiedź, ale takowej nie było. – Jesse! – powiedziała głośniej.

Odpowiedziało jej tylko głębokie westchnienie. Mruknął przez sen zadowolony i oplatał ją swym ciałem jeszcze bardziej. Zyskała pewność, że nie dotarło do niego ani jedno słowo.

Otworzyła oczy na zupełnie nowy świat. Przez chwilę leżała w absolutnym bezruchu. Wydarzenia minionych dwudziestu czterech godzin uniosły ją niby rwący prąd rzeki. Dała się ponieść... Uświadomiwszy to sobie, wybuchnęła szczęśliwym śmiechem. Jakże łatwo dała się rozszyfrować!

– Jesse!

Zobaczyła puste łóżko. Była rozczarowana, ale bynajmniej niezdziwiona jego nieobecnością. Jesse zawsze wstawał bardzo rano, natomiast ona nigdy nie przegapiła okazji, by dłużej sobie pospać. W pełni już rozbudzona, wsłuchiwała się w odgłosy dochodzące z kuchni. To na pewno Jesse przygotowuje śniadanie, a w każdym razie parzy kawę.

Przeciągnęła się z zadowoleniem i przykryła prześcieradłem pod samą brodę. Za kilka minut go zobaczy i wyzna mu, że ciągle go kocha.

Nigdy nie przestała go kochać i nigdy nie przestanie. Przez całe minione pięć lat była właściwie tego świadoma. I postanowiła teraz, że albo będzie traktowana z szacunkiem należnym kobiecie i żonie, albo go opuści. Raz to już zrobiła i jeśli będzie konieczne, zrobi to po raz drugi. Chociaż tym razem nie będzie to już chyba konieczne.

Ostatnia noc tego dowiodła. Tak, to, co między nimi zaszło, to była prosta, czysta miłość...

Wyznać mu ją zaraz? Czy czekać, aż on to zrobi? Nigdy by się nie doczekała. Jesse nie lubił obnażać swoich uczuć. Chyba większość mężczyzn tego nie lubi.

Głośny klakson poderwał ją z łóżka. Uchyliła zasłony okna tuż za wezłowiem.

Joe Bob! Ale wybrał sobie czas! Meg puściła zasłonę i usiadła na łóżku na podkurczonych nogach. Upłynęło kilka minut w zupełnej ciszy, więc znowu wyjrzała przez okno.

Jesse stał przy opuszczonej szybie furgonetki słuchając bardzo pilnie, w każdym razie wskazywało na to pochylenie jego głowy. A Joe Bob coś tłumaczył. Czego on chce? W żadnym razie tego nie dostanie... Na pewno nie. Jesse przecząco potrząsnął głową spoglądając na dom. Mogła się domyślić, że mówi „Nie teraz. Mam ważne sprawy do omówienia z Meg. Obiecałem jej”.

A więc, kiedy Jesse wejdzie, będzie przygotowana do rozmowy. Szybko wzięła prysznic i ubrała się. Gdy wychodziła z łazienki, usłyszała głośniejsze warczenie silnika, jakby Joe Bob zbierał się do odjazdu.

Biedny Joe Bob, pomyślała, usiłując okazać wyrozumiałość w chwili własnego triumfu. Rozchyliła zasłonę i zdążyła zobaczyć jak furgonetka zawraca, a Joe Bob wygląda przez okno wozu.

W ostatniej chwili, w głębi za nim, dostrzegła Jesse'a. Nawet nie patrzył w stronę domu.

Najpierw dostała szału.

Chyba tylko nowoangielskie wychowanie, nakazujące szacunek wobec dóbr materialnych, nie pozwalało jej uczynić tego, czego w duszy pragnęła – spalić cały dom, a wraz z nim pogrzebać własne upokorzenie. Zamiast tego wpadła w szal sprzątanania. Po półgodzinie

miała ręce czerwone od roztworu amoniaku, a oczy czerwone od środka do czyszczenia piekarników.

W każdym razie wannę wyszorowała zbyt ostrym proszkiem tak mocno, że uszkodziła taśmy uszczelniające. Następnie złamała paznokiec szorując kuchenny zlew i wreszcie nałykała się kurzu ze ścierek. Umyte włosy stały się szare. Jesse nadal nie wracał.

Pojawił się dopiero koło południa.

Meg usłyszała furgonetkę siedząc skulona przy kuchennym stole. Jesse wszedł do kuchni. Miała zamiar okazać absolutny spokój i rozmawiać racjonalnie. Przez minionych parę godzin wmawiała sobie, że może sobie na to pozwolić, ponieważ wina była w stu procentach po stronie Jesse'a.

Kiedy jednak zobaczyła jego niespokojne spojrzenie i zdała sobie sprawę, że dobrze wiedział, iż sprawił jej przykrość, wszystkie dobre intencje gdzieś uleciały.

– Ty wstrętny... nieuczciwy... kowboju! – wyrzuciła z siebie w pierwszym porywie złości.

Drgnął, jakby go uderzyła w twarz.

– Poczekaj no chwilkę, moja miła, nim cię poniesie...

– Chwilkę? Czekałam kilka godzin! – Zerwała się wspierając dłonie na blacie stołu. – Z samego rana mieliśmy przeprowadzić rozmowę!

– Nie zapomniałem. – Na jego twarzy pojawił się znany jej wyraz uporu. Właściwie zaciętości.

– A więc?

– A więc co?

– Nie słyszę żadnego wyjaśnienia, żadnego wytłumaczenia! – Piekącymi palcami przeczesała krótkie włosy usiłując powstrzymać drżenie warg. – Boże drogi, powinnam była wiedzieć. Dlaczego pozwoliłam, żeby mnie to spotkało?!

– Może się zamkniesz na minutę! – Gniew rozpałił Jesse'owi policzki. – Z samego rana oznacza dla mnie piętnaście po szóstej. Byłem, czekałem. A ty, gdzieś byłaś?

– Wiesz dobrze, gdzie byłem. Tam, gdzie mnie zostawiłeś.

– Więc teraz jestem. O co chodzi? Cóż było takiego ważnego do omawiania z samego rana?

Wrzeczeli na siebie. Po tej całej nieprawdopodobnej nocy spędzonej razem byli od siebie bardziej oddaleni niż kiedykolwiek, uświadomiła sobie Meg. To, co brała za miłość, było jedynie fizycznym pożądaniem. Zgoda, było wspaniale. Ale to jest zbyt mało.

– Teraz jest tylko jedna rzecz ważna. Randy! – Zaczęła coraz głośniej krzyczeć. – to jest jedyny temat, na jaki chcę teraz z tobą rozmawiać. Żaden inny. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

– Chyba naprawdę tak nie myślisz?! – Zrobił w jej stronę parę kroków. Meg wycofała się za stół. – Po minionej nocy...

– Miniona noc była poważnym błędem, największym błędem w moim życiu. Oszczędź mi, proszę, wstydu i więcej jej nie wspominaj.

Pękało jej serce, gdy wypowiadała te słowa, a Jesse wydawał się nimi ogłuszony. Chciała umknąć, ale on chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Teraz ja żądam, żebyśmy porozmawiali – powiedział ponuro.

Nawet w stanie, w jakim się znajdowała, jego dotyk wywołał dreszcz. Spojrzała na dłoń obejmującą jej ramię.

– Masz rację – odpowiedziała martwym głosem. – Musimy porozmawiać. O Randym. Ale przede wszystkim puść mnie. I nie chcę, żebyś mnie w przyszłości dotykał.

Puścił jej rękę.

– Czy ty naprawdę tego chcesz? – Wydawał się zupełnie

zgnębiony.

– Jestem tego absolutnie pewna. Wzruszył ramionami i odwrócił się. – jeszcze jedno, Jesse!

Zatrzymał się w miejscu stojąc do niej plecami.

– Tydzień na omówienie sprawy Randy’ego. Ani dnia więcej. Za tydzień wracam do domu. Mogę znacznie lepiej spożytkować mój czas, niż tracić go z tobą.

Przez chwilę wydawało się, że Jesse bez słowa odejdzie, jednakże obrócił się i powiedział głosem, od którego przeszły ją ciarki po plecach:

– Nazywasz to traceniem czasu? A ja uważam, że dopiero teraz coś stracisz. Randy nie pójdzie do tej szkoły dla wymoczków. Żadnej dyskusji.

– Jest to jedna z najlepszych szkół w kraju. A może nawet na świecie. Nauczy się...

– Dlaczego chcesz się go pozbyć z domu? Zawsze myślałem, że go kochasz. Teraz zaczynam w to wątpić...

– Jak ty śmiesz coś podobnego mówić! Przecież to jest dzienna szkoła, w samym Bostonie. Będzie co wieczór wracał do domu, weekendy będzie spędzał w domu. Poza tym...

– ...będzie spędzał cały swój wolny czas w autobusach! Nie zgadzam się.

– Harris ma go odwozić i przywozić ze szkoły. Na miłość boską, Jesse...!

– Szofer dziadka! Teraz rozumiem jeszcze lepiej. Szkoła nie tylko dla wymoczków, ale i snobów. Randy nie pójdzie do żadnej szkoły dla snobów i wymoczków, nie ma mowy!

– Nie, nie możesz go mieć na Boże Narodzenie. I to jest moje ostatnie słowo.

– A niby dlaczego nie? W Bostonie nie ma żadnej zabawy.

Nawet choinki są już ubrane przedtem, a później śpiewanie kolęd pod kubki piwa z jajkiem według waszego tam arystokratycznego obyczaju...

– Tylko spokojnie, bo już cię ponosi.

– A ponosi. Moi przodkowie nie przyjechali z Anglii na statku „Mayflower”, co to niby daje prawo do herbu. Ja jestem zwyczajny awanturnik, syn awanturników, co przyłynęli zwykłym trampem. Ale nie zapominaj, że Taggartowie walczyli pod Alamo!

– Pod Alamo i na każde skinienie, zawsze skorzy do bitki. Wiem. Wy wszyscy, kowboje teksańscy, jesteście tacy sami. Wszystko, co na wschód od Missisipi, to dla was za małe, za krótkie, zbyt tłoczne, ale to jedynie dowodzi, że to właśnie wy jesteście prawdziwymi snobami. Boston to w każdym razie cywilizowane miasto...

– Chcesz powiedzieć, że Teksas nie jest cywilizowany? Więc uważaj, droga Margaret, żeby ci ktoś nie przestrzelił stopy!

I tak to trwało przez pierwsze dni tygodnia udostępnionego łaskawie Jesse’owi dla rozwiązania istniejących problemów. Dwa dni, czterdzieści osiem godzin prawdziwego piekła. Trzeciego dnia Meg miała już dość.

Była wyczerpana, zgnębiona, zrozpaczona. W przeciwnym wypadku nigdy by się nie udała samotnie do baru w miasteczku. Do Baru Niższych Form Życia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Meg wcale nie zamierzała iść do baru. Ani sama, ani w towarzystwie. Tak się po prostu zdarzyło. Szła sobie do samochodu po wyjściu z drogerii pod nazwą Teksańska Róża i oto pchnęła wahadłowe drzwi baru, weszła i usiadła na wysokim stołku przy ladzie.

Brzuchaty barman o długich wąsach i twarzy, która wydawała się jej znajoma, podniósł głowę znad wypucowanego kontuaru.

– Proszę jedno białe wino, zinfandel – obwieściła Meg, kładąc obok siebie paczkę z kupionymi kosmetykami. – Nie zdążyłam zjeść lunchu, macie tutaj coś do zjedzenia?

– Dopiero po szóstej... – Barman wydawał się zakłopotany. – A może chablis? Tamtego... zin, zin nie mamy.

– Może być chablis – powiedziała.

– Mamy teraz dwie zakąseczki. Chrupiąca skórka świńska i nóżki wieprzowe... – dodał zachęcająco barman otwierając wino. Z półki wziął kieliszek.

– Po szóstej przychodzą turyści na tę godzinę, kiedy dajemy drinki za pół ceny i wtedy wystawiamy coś więcej na ząb. Jajka na twardo, kiełbaski, ot takie rzeczy...

Stawiając przed nią wino spytał:

– Jest pani pewna, pani Taggart, że nie przegryzie sobie pani świńskiej skórki? Bo tak na pusty żołądek wino...

– M a pan rację. Byłoby źle na pusty żołądek.

– Westchnęła. – No dobrze, niech pan poda trochę tych skórek. A właściwie, to ja nie przyszłam na wino... ale dla atmosfery tego lokalu. – No i żeby opóźnić powrót do domu, pomyślała.

– Tak, rozumiem. Turyści to lubią.

Meg dobrze rozumiała, dlaczego. Bar był urządzonej tak, jak w

wyobrażeniu ludzi powinien wyglądać bar na Dzikim Zachodzie: wspaniały kontuar, na nim całe zaplecze w wiktoriańskim stylu, a na ścianie malowidło przedstawiające nagutką, tłustawą kobietę. O tej godzinie w barze jeszcze prawie nikogo nie było. Tylko jakaś para turystów w średnim wieku przy stoliku w kącie, a przy samym końcu lady stał starszy mężczyzna wyglądający na kogoś miejscowego. Pieścił w dłoni kufel piwa.

Barman zdjął celofanową torebkę z gwoździa i puścił ją po mahoniowym blacie w stronę Meg. Torebka pełna świńskich skórek dotarła poślizgiem. Meg podziękowała uśmiechem.

– Czy ja pana kiedyś poznałam? – spytała. – Bo pan zna moje nazwisko, a ja sobie nie przypominam...

– Właściwie się nie znamy. Jestem Billy Vaughn. A ten młody diabeł wcielony, który omalże się nie zabił podczas pikniku, to mój syn, też Billy.

– Jesse był może trochę za ostry w tym, co powiedział. – Meg czuła, że się rumieni. – Bardzo pana przepraszam w jego imieniu, jeśli pana uraził.

– Ależ skąd! – Billy Vaughn przechylił głowę do tyłu i zdziwiony patrzył na Meg. – Dziękuję Bogu, że Jesse znalazł się w pobliżu. Znam dobrze chłopaka. Widziałem, jak dorasta. Dobry z niego człowiek.

Billy Vaughn ściągnął brwi – nie wiem, czy będzie bardzo szczęśliwy, jak się dowie, że jego kobita popija sobie tutaj szatańskie soczki wczesnym popołudniem.

Nim zdołała opanować zdumienie, Billy odwrócił się i odszedł. Niech sobie myśli, co chce, postanowiła. Nie uważała, by jeden kieliszek wina można było przyrównać do popijania szatańskich soczków.

Przecież powiedziała temu człowiekowi prawdę. Przyszła dla

nastroju, a nie po alkohol. Poza tym tutaj było chłodno i spokojnie, a na zewnątrz, zgodnie zresztą z nazwą miasteczka i pobliskiej rzeczki, panował piekielny żar.

Poza tym nigdy tu jej Jesse nie przyprowadził, a więc z tym lokalem nie łączyła żadnych wspomnień, a już to samo było wielkim plusem. Podniosła kieliszek.

– Meg! – usłyszała głośnie wołanie.

Zaskoczona, rozlała trochę wina na kontuar. Oglądając się w stronę drzwi wejściowych ujrzała Laurel Anderson idącą ku niej szybkim krokiem.

– Cześć, Laurel! – powiedziała zadowolona ze spotkania znajomej twarzy. – Skąd się tu wzięłaś?

Laurel usiadła na stołku obok Meg.

– U ciebie wszystko w porządku? – spytała niespokojnym głosem.

W głowie Meg zaświtało podejrzenie, że pojawienie się w barze Laurel nie jest sprawą przypadku. Zmarszczyła czoło.

– Oczywiście, że wszystko w porządku! Po to tutaj przyszedłaś? Żeby sprawdzić?

– Może i tak. – Laurel była bardzo zdetonowana. – Kiedy wpadła do mnie Donna i powiedziała, że widziała, jak tutaj wchodziłaś...

– Donna?

– Ona bardzo cię polubiła, Meg. Powiedziała mi, że wtedy byłaś gotowa zasłonić małego Shane’a przed tym rozszalałym koniem. A to według Donny stawia cię na piedestale. I według mnie także.

Pochwyciła wzrok Billy’ego i zamówiła piwo.

– Skoro już tu przyszedłaś i skoro stwierdziłam, że wszystko jest u ciebie w porządku, to przed powrotem do pracy mogę łyknąć zimnego piwka. No i jak tam wszystko u was? Jakże to miło było widzieć was oboje, Jesse’a i ciebie, gruchających wesoło podczas

pikniku.

Tymczasem Meg walczyła z chęcią podzielenia się swoimi problemami. A któż byłby lepszy do zwierzeń od Laurel, która знаła Jesse'a od małego. Z drugiej strony...

– Tak mówiąc prawdę, Laurel...

W drzwiach ukazała się głowa Suzi Sherman.

– Hej, Billy, Joe Bob mówi, że jest w drodze do ciebie z jedenastoma miejskimi kowbojami gnany wielkim pragnieniem – powiedziała.

Weszła następnie w całej okazałości, aby dać obecnym szansę podziwiania jej teksańskiej elegancji. Miała na sobie strój tak obcisły, że wydawał się namalowany. Długie platynowe loki spływały spod białego stetsona. Dżinsy i kowbojskie buty również były białe. Całości dopełniała bluzka z czarnej koronki, a pod koronką nie było nic więcej oprócz samej Suzi i nawet półślepy obserwator mógł zachwycać się obfitymi piersiami.

Laurel jęknęła.

– Przemiała dziewczynka z sąsiedztwa. O Jezu!

– Może nas nie zauważy – powiedziała z nadzieją w głosie Meg z trudem powstrzymując śmiech.

Płonna nadzieja!

– Meg! Ach, jak to miło! – Kołysząc się w biodrach Suzi podeszła do lady. – Proszę o wódkę na lodzie, Billy! Cześć, Laurel! Jestem bardzo zdziwiona spotykając was tutaj, moje panie. W połowie dnia! A jeśli o ciebie idzie, Meg, to w ogóle nie sądziłam, że można cię spotkać w takim miejscu. Ale jest mi bardzo miło. Joe Bob nic mi nie mówił, że masz tutaj być?

Meg odepchnęła na bok nietknięte wino i wzięła z lady swoją paczkę.

– Z nikim nie miałam się spotkać, z nikim się nie umawiałam,

przyszłam ot tak, przypadkiem – czego bardzo teraz żałuję, pomyślała – i już wychodzę!

– Poczekaj chwilę, aż skończę moje piwo – odezwała się Laurel i upiła kilka potężnych łyków.

Suzi też chwyciła za szklaneczkę.

– Jeśli kobieta musi iść, to znaczy, że musi! – odezwała się sentengonalnie. – Zobaczymy się kiedy indziej, Meg! Cześć!

– Być może. – Meg zeszła ze stołka. Nie chciała spotykać się z Joe Bobem. Byłby zachwycony mogąc potem opowiadać Jesse’owi, jak to widział jego żonę zapijającą się w barze.

Meg przyznawała w duchu, że pomysł wstąpienia do baru nie był najszcześniejszy. A poza tym żaden Taggart nie może zachować anonimowości w tym malutkim świątku, nawet Taggart przyszywany. Wieść rozniosła się natychmiast. Na pewno, zanim wahadłowe drzwi zamknęły się za nią, już pół miasteczka wiedziało o jej eskapadzie.

Wmawiała sobie dumnie, że nic ją nie obchodzi, czy Jesse się o tym dowie, czy nie. To przestało już być jego sprawą. Zwłaszcza, że nie zrobiła nic złego. Choćby ze względu na jego lokalną pozycję i szacunek, jakim się cieszył, nie zrobiłaby nic, by go skompromitować czy narazić na przykrości. Zresztą sama też nie zamierza się kompromitować. Może właśnie dlatego należało za wszelką cenę uniknąć spotkania w barze z najlepszym przyjacielem Jesse’a.

Chwyciła więc swoją paczuszkę i torebkę chcąc czym prędzej się stąd ulotnić.

– Miło było was spotkać, moje panie! – zwróciła się do Laurel i Suzi szukając w portmonetce drobnych. – He jestem winna...?

Odwrócił jej uwagę jakiś hałas na zewnątrz. Zrezygnowana spojrzała w kierunku drzwi spodziewając się ujrzeć sylwetkę Joego

Boba, ale los jej tego oszczędził. Osobą, która wprowadziła hałaśliwą gromadę do baru był Jesse James Taggart.

Ich rozmowa była właściwie dwutorowym dialogiem:

– Cześć, kochanie! Nie miałem pojęcia, że będziesz w miasteczku! (Co, do cholery, robisz w połowie dnia na barowym stołku?)

– Robiłam drobne zakupy. Wyjechałam z domu zaraz po tobie. (I gdybyś przebywał trochę ze mną, tobyś wiedział, czego potrzebuję, ale ty pętasz się tylko ze swoimi kumplami.)

– Stary Billy dobrze się tobą opiekował? (Oprócz kolekcjonowania nowych smacznych kąsków i dowcipów na temat Taggartowej żony, jankeskiej córki. Żeby potem bawić nimi miejscowych klientów.)

– O, tak. I była ze mną Laurel i Suzi. (A Suzi doskonale wiedziała, gdzie się podziewasz, i nie pisnęła mi ani słowa. Jak ja mam się czuć?)

– Ha! Zupełnie tak samo jak ja znajdując cię tutaj! Może byś coś zjadła?

– Bez głupich sugestii. Nie jestem pijana. To mój pierwszy kieliszek wina, którego nawet nie tknęłam. Zjadłam całą torebkę wspaniałych świńskich skórek, ale nie mogłam się nimi odpowiednio nacieszyć, bo niczym nie popiłam.

– Billy rozpoczyna teraz dla tych turystów godzinę drinków za pół ceny. Jestem pewien, że znajdę ci coś lepszego niż świńskie skórki. Tylko pamiętaj, że frykasów tu nie ma. Żadnych tam jaskółczych gniazd ani pieczonych nówek komarów.

– Nie trudź się. Właśnie wychodziłam. Muszę stąd wyjść, zanim...

Jesse poprowadził ją do stolika, żeby porozmawiać w cztery oczy. Położył dłoń na jej dłoni, twarz jego wyrażała poczucie winy.

– Nie rób tego! – powiedział, jakby przerwała się jakaś tama. – Zgodziłem się sprowadzić tych gości mieszkających u Joego Boba tylko dlatego, że ty nie chciałaś zamienić ze mną nawet paru słów. Przynajmniej wreszcie rozmawiamy.

Meg spojrzała na ich dłonie na stole i bezwiednie obróciła swoją spletając palce z jego palcami.

Jesse miał rację. Te minione dwa dni były okropne. Zostanie jeszcze kilka minut, co to właściwie szkodzi. Otaczają ich ludzie. Może lepiej tu niż w cztery oczy w domu.

– Zgoda – odparła sucho. – Zostanę jeszcze trochę. I rzeczywiście chciałabym coś zjeść.

Uśmiech rozświetlił mu twarz. I jednocześnie w jej oczach rozjaśniał cały lokal.

Jesse nie opuścił jej nawet na jedną chwilę, nawet wówczas, gdy Joe Bob usiłował go skłonić, by opowiedział przyprowadzonym turystom którąś z miejscowych legend. Laurel skończyła swoje piwo i wróciła do pracy, pozostawiając Meg i Jesse'a samych wśród zgromadzonego tłumu.

Oboje, w niemym porozumieniu, unikali tematów, które groziły jakimś wybuchem. Rozmawiali o pogodzie, o sałatce, jaką Meg przyrządziła poprzedniego wieczoru. Nie mówili o powstałych napięciach, o problemach sypialnianych ani o ich synu.

Gdy ktoś wrzucił ćwierć dolara do grającej szafy, Jesse wyciągnął do Meg obie ręce.

– Zatańcz ze mną, kochanie – powiedział śpiwnym teksańskim akcentem.

Meg najpierw wyciągnęła dłoń, potem ją nagle cofnęła. Patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami usiłując zgłębić jego intencje.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. U ich boku pojawiła się nagle Suzi mówiąc słodziutkim głosikiem:

– Czy pozwolisz, Meg, że pożyczę twojego przystojnego męża na jeden taniec?

Meg była daleka od przyzwolenia.

– Niestety, nie mogę – odparła i ujęła dłoń Jesse’a, który uśmiechnął się czarująco i poprowadził ją na malutki parkiecik. Nawet nie spojrzął w stronę Suzi.

Od tamtego pierwszego razu w Aspen, kiedy tańczyła z Jesse’em, Meg nigdy w podobny sposób nie tańczyła z żadnym mężczyzną. Nie chodziło o to, że był tak wspaniałym tancerzem, ale dlatego, że tak do siebie pasowali w tańcu. Prowadził ją bez wysiłku, z naturalną gracją.

Zagubiona w tańcu czuła, jak znikają wszelkie napięcia wynikające z trawiącego ją gniewu, pojawia się natomiast nowe napięcie, znacznie groźniejsze.

– Odbijany! Zmiana partnerów! Odbijany!

Meg otworzyła oczy. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że miała je zamknięte i że policzek wtuliła w ramię męża. Cudowną chwilę zepsuło wezwanie Joego Boba. Nie mogła zaoponować, wyrwał ją dosłownie z ramion Jesse’a i otoczył swoim ramieniem. Stojąca tuż obok Suzi oplotła natychmiast swoimi ramionami Jesse’a.

Meg zdołała jeszcze ujrzeć wykrzywioną złością twarz Jesse’a, nim Joe Bob po prostu przyduł ją do siebie i szybko przetańczył z nią na przeciwległy skraj parkietu, dzierząc w niedźwiedzim uścisku, który omal nie przełamał jej wół.

– Nie mogę oddychać! – zaprotestowała. – Dusisz mnie!

Z trudem wsunęła wreszcie dłonie między siebie a niego i mocno pchnęła. Nie puścił jej, rzucił tylko krótkie spojrzenie za siebie. Idąc za jego wzrokiem Meg ujrzała, jak Suzi oblepia całym ciałem Jesse’a, z rozmarzonym wyrazem na nadmiernie umalowanej twarzy.

– Powinnam była to przewidzieć – mruknęła Meg.

– Co przewidzieć, kochanie? – Joe Bob ciągnął jej oporne ciało po parkiecie.

Jakim jesteś bydlakiem, odparła w myślach, ale głośno zaimprovizowała:

– Że się tu dzisiaj pojawisz.

– Ty też zaskoczyłaś swojego starego obecnością w takim miejscu.

– Bądź łaskaw go tak nie nazywać. Jesse jest moim mężem, a nie żadnym moim starym.

– Niech tam będzie. Jakbyś go nie nazwała, to trzeba powiedzieć, że bardzo dziwnym jesteście małżeństwem. Kiedy cię zobaczył pijącą w połowie dnia, to mu omalże oczy na wierzch nie wyszły.

– Bardzo lubię go zaskakiwać. – Nie było sensu dyskutować z takim głupkiem.

– słusznie, moja droga Margaret, bardzo słusznie. – Muzyka przestała grać, ale nie od razu ją puścił.

– Słyszałem, że wkrótce wracasz do Bostonu?

Zesztywniała. Czyżby Jesse zwierzał się Joemu Bobowi?

– Być może – odparła lodowato. – A po co ci to wiedzieć?

Wzruszył ramionami, ale jego oczy spoglądały przebiegle.

– Organizuję imprezę, pieczenie na rożnie, w sobotę wieczorem. Na moim ranczu. Serdecznie cię zapraszam.

– Chyba żartujesz?

– Jeśli tak uważasz. Jesse obiecał, że przyjdzie.

– Obiecał, że przyjdzie? – Urażona do żywego wyrwała się z jego uścisku. Wiedząc, że to jest jej ostatni dzień pobytu, Jesse obiecał iść do Joego Boba na przyjęcie? Wreszcie się dowiedziała, jakie zajmuje miejsce na liście Jesse'a.

Joe Bob spojrział wyrozumiałym wzrokiem na Jesse zajętego

rozmową z blond pięknnością.

– Droga Meg, Jesse był moim przyjacielem, zanim się jeszcze dowiedział, że szanowna pani chodzi po tym świecie, i pozostanie moim przyjacielem długo potem, kiedy... – Przerwał zdając sobie sprawę, że się zagalopował. – Nie chcesz przyjść na moje przyjęcie, to nie. Sprawa skończona. Tylko proszę potem nie mówić, że nie zapraszałem.

Gdy chciał ją wyprowadzić z parkietu, zadała pytanie:

– Zastanawiam się, do czego ty zmierzasz?

– A do czegoż miałbym zmierzać?

– Pojawiasz się z samego rana i porywasz Jesse'a! – Ja go nie porwałem! – Joe Bob wyglądał na śmiertelnie obrażonego, iż ktokolwiek może go posądzać o podobne rzeczy. – Ta klacz jak nic by zdechła, gdyby Jesse nie pomógł w porodzie... – Urwał wpatrując się w nią ciekawie, gdyż Meg, wbrew sobie, uśmiechnęła się. A więc Jesse pomógł w porodzie! No to dlaczego ani słowa o tym nie wspomniał? Joe Bob wykrzywił usta.

– To ty nic nie wiedziałaś?

– Nie.

– To bardzo przepraszam.

Kiedy Joe Bob pakował swoich turystów do autobusu, aby wrócić z nimi na rancho, Jesse się wymówił.

– Wracam do domu z Meg – powiedział, chociaż przedtem tego z nią nie omawiał. – Jutro zabiorę mojego konia.

Joe Bob wydawał się bardzo zawiedziony. Skorzystała z tego Suzi:

– Ale spotkamy się w sobotę wieczorem przy roźnie, prawda? – zapytała przymilnie.

Jesse wzruszył ramionami.

Suzi stała obrócona ku Jesse'owi. Wzięła głęboki oddech. I tak

już mocno napięty materiał koronkowej bluzki przylgnął jeszcze bardziej do jej pełnych piersi.

– I nie zapomnę tego, co mi powiedziałaś! – dodała. Meg czuła, że uderza jej krew do głowy. Patrzyła za Suzi, która odchodziła, sugestywnie poruszając biodrami. Takie popisy kobiet zawsze ją złościły. No i co teraz? Te słowa Suzi wymagają chyba wyjaśnienia ze strony Jesse’a? Ale czy można się tego domagać?

– Znów masz ten wyraz twarzy! – westchnął Jesse.

– Jaki? – zapytała ostro.

– Taki, który obwieszcza: „On mi za to zapłaci”. – Odepchnął krzesło, na którym siedział. – Chwilowo jestem gotów zapłacić... za kolację. Może coś sobie przekazamy? W restauracji Alamo są świetne steki...

Alternatywą byłby powrót do domu. A w domu znowu skoczyliby sobie do oczu. Niemiła perspektywa.

A jeśliby nie skończyło się walką, to istniała inna, jeszcze groźniejsza perspektywa...

A więc już lepiej iść do restauracji Alamo na stek.

Kelnerka sprzątnęła wszystko ze stołu i podała kawę. Meg lekko westchnęła i obdarzyła Jesse’a smutnym uśmiechem.

– Za bardzo się objadłam, ale wszystko było naprawdę świetne.

– To jedyne miejsce w miasteczku, gdzie umieją poradzić sobie ze stekami. – Dodał do kawy ćwierć łyżeczki cukru i zaczął mieszać nie patrząc na Meg. – Byłem zdziwiony spotykając cię dzisiaj w barze.

– O, na litość boską! – Zdesperowana rzuciła się na oparcie fotela. – Zapewniam cię, że nie upijałam się w biały dzień, jeśli to cię tak strasznie niepokoi. A jeśli już mówimy o tym, kto i z jakiego powodu jest zdziwiony, to raczej ja zdziwiłam się widząc tam ciebie, gdyż nie miałam pojęcia, że zmieniasz pieluszki podopiecznym

Joego Boba.

– Tylko nie zaczynaj. – Zmarszczył brwi. – Ja chciałem być tym, który cię zaprowadzi do baru Billy’ego. To wszystko. I nic więcej. Od dłuższego czasu miałem ten zamiar, wiedziałem, że to może ci się spodobać. Wszystkie te starocie i wystrój Dzikiego Zachodu.

Nieco ułagodzona bawiła się uszkiem filiżanki.

– Weszłam tam po prostu pod wpływem impulsu. Przechodziłam... i pomyślałam, że nie chcę jeszcze wracać do domu... Nie wiem jak ty, ale mnie to wszystko dobija.

– Trafiłaś w dziesiątkę. – Potrząsnął zrezygnowany głową. – Meg, dlaczego my jesteśmy tacy wobec siebie? Ciągłe skaczemy sobie do oczu. Doprowadzasz mnie do takiego stanu, że przez pół dnia nie wiem, co robię i dokąd idę.

– To zupełna dla mnie nowość! Według mnie doskonale wiesz, co robisz. Przez cały czas. Chociaż nie jesteś skłonny dzielić się tym ze mną.

– Cholera! – Spojrzał na nią spode łba. – Dlaczego za mnie wyszłaś, skoro mi brak jakichkolwiek dobrych cech? Czasami wydaje mi się, że ten mój zimny i opanowany braciszek, prawnik, byłby dla ciebie lepszym mężem. Jest bardziej w twoim typie.

– Poznałam was jednocześnie i wybrałam ciebie.

– Aha. – Pochylił się zainteresowany. – A właściwie dlaczego?

– Wiesz, dlaczego – odparła zduszonym głosem.

– Wydawało mi się, że wiem. Ale teraz już nic nie wiem. – Opadł na fotel nagle zamyślony. – Przypomnij mi. Dlaczego za mnie wyszłaś?

– Bo gdy spojrzałam na ciebie, zdałam sobie sprawę, że istnieje miłość od pierwszego wejrzenia. – Wreszcie wyrzuciła z siebie to wyznanie. – Boże drogi, Jesse, dwa tygodnie! Czy w ogóle mogliśmy siebie poznać przez dwa tygodnie? – Trzymane na kolanach dłonie

zaciśnęła w pięści. – Przecież to twoja wina – rzuciła oskarżenie. – Ty się uparłeś, żeby mi się oświadczyć. Boone ci odradzał, o czym teraz wygodnie zapominasz. To ja powinnam ci zadać pytanie. Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– Wydawało mi się, że wiem, na czym polega pociąg fizyczny – wyszeptał i przez parę sekund trzymał zamknięte oczy, jakby chciał sobie wszystko przypomnieć. – Ale kiedy cię spotkałem, to okazało się, że nie mam zielonego pojęcia. Tak bardzo cię pragnąłem, że mnie wszystkie zęby bolały. Pragnąłem mieć cię na zawsze, więc się oświadczyłem. Głupota. Byłaś za młoda, zbyt uparta i nadto rozpieszczona.

– Miałam wówczas dwadzieścia lat i wcale nie rwałam się do zamążpójścia. – Meg patrzyła w nietkniętą kawę, z pewnością już wystygłą. – Być może nieco rozpieszczona, natomiast co do uporu to mogłabym się uczyć od Ciebie.

– Może się właśnie uczyłaś. I byłaś aż zbyt pojętną uczennicą.

– Kawa niedobra? – usłyszeli głos kelnerki, która stanęła nad nimi z naczyniem pełnym parującego napoju.

– Dobra, dziękuję. Po prostu zagadaliśmy się – odparł Jesse.

– Rozmawiajcie sobie, rozmawiajcie, kochaneczku – odparła i odeszła.

Jesse, upiwszy łyk z filiżanki, powrócił do przerwanej rozmowy, z miejsca podejmując poprzedni wątek:

– W wieku dwudziestu czterech lat ja też nie byłem wzorem dojrzałości. Problem polegał na tym, że wówczas sądziłem, iż oboje jesteście już dorośli, a jeśli trzeba będzie dorosnąć jeszcze trochę, to się będziemy wzajemnie wspierać. A kiedy odeszłaś...

Meg miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła przez chwilę wydobyć słowa. Wreszcie wyszeptała:

– Wiesz, dlaczego odeszłam.

– Tak, teraz wiem, ale przez długi czas sądziłem, że było jeszcze coś więcej. Bo tamten powód wydawał się taki nieistotny, błahy.

– Ale nie dla mnie.

– Wreszcie to zrozumiałem. – Wydawał się bardzo roztrzęsiony.

– Ale przez cały czas miałem wówczas nadzieję, że się otrząśniesz i wrócisz.

– A ja myślałam, że ty przyjedziesz po mnie.

– Ja się nigdy nie czołgałem i nie będę czołgał.

Widząc jego zaciętą twarz Meg pojęła, że rozmowa znowu znalazła się w impasie.

– Nie oczekiwałam żadnego czołgania – powiedziała wolno, jakby tłumaczyła dziecku. – Byłam rozczarowana, że nie zależy ci na mnie na tyle, by uczynić drobny gest na rzecz pogodzenia się.

Wydawał się absolutnie zdumiony jej oskarżeniem.

– A jak mnie nazwałaś, kiedy się pokazałem na schodach twojego domu w Bostonie?

– Zaraz, zaraz! To było już po roku. I spytałeś o swojego syna. Tylko o syna. Żona cię nie interesowała. Nazwałam to uderzeniem w twarz.

– Hmm... Rozumiem twój punkt widzenia. Kiedy to teraz przedstawiasz w ten sposób... Może, być może... Chcę ci tylko przypomnieć, że trzy miesiące owego roku spędziłem w szpitalach.

Nie miała o tym pojęcia. Nawet teraz, chociaż to już upłynęło tyle lat, poczuła zimne ciarki na plecach.

– Pierwsze słyszę – usiłowała powiedzieć to spokojnym głosem.

– A co się stało?

– Koń mnie zrzucił. – Wzruszył ramionami.

– Gdzie? Kiedy? – zacięła się.

– Przerzucił przez ogrodzenie...

– Mogłeś mi o tym powiedzieć. Zawiadomić. Wówczas...

– Nie mów dalej! – Oczy mu zabłyśły, twarz się ściągnęła. – Nie chciałem twojego powrotu w takich okolicznościach. W pewnym sensie pod przymusem. Prawda jest taka, że kiedy mnie porzuciłaś, byłem nieco rozstrojony.

– Bardzo mi przykro.

– Nie lubię niczyjego współczucia. Potrafię się bez niego obejść.

– Miałam udawać, że jestem zadowolona? Teraz natomiast jestem rozczarowana, że koń cię tak nie kopnął, żeby ci napędzić trochę rozumu do głowy.

Popatrzyli na siebie: ona wściekła, on zdumiony. W pewnym momencie oboje jednocześnie zrozumieli głupotę całej sytuacji i najpierw Jesse wybuchnął śmiechem, a po chwili dołączyła Meg.

– Wiesz co, powinniśmy zacząć się kłócić o to, czy księżyc jest zrobiony z pleśniowego sera, czy też z czegoś zupełnie innego.

– Nie byłoby dyskusji. Księżyc jest zrobiony z sera.

– Czy chcesz znowu awantury? – W rozbawieniu rzuciła serwetkę. Zobaczyła kręcącą się w pobliżu kelnerkę. – Jesteśmy ostatnimi gośćmi w lokalu. Oni już chcą zamykać.

– Wracamy do domu?

Jego pełen nadziei głos zaskoczył ją. A gdzie mieliby iść?

Po chwili dopiero zdała sobie sprawę, słowo dom miało znaczyć coś więcej niż tylko budynek...

Była pewna, że Jesse śpi. W przeciwnym wypadku nigdy by nie przekroczyła progu sypialni. Jednakże noc była gorąca i nie mogła się oprzeć chęci wypicia szklanki soku lub choćby wody sodowej.

Na palcach przeszła przez hol, w szeleście długiego bawełnianego szlafroka. Większość wieczoru, a przedtem przedpołudnia spędziła w pomieszczeniach klimatyzowanych, co czyniło jeszcze trudniejszym wytrzymanie nocnego żaru.

A poza tym to spojrzenie Jesse'a. Spodziewała się z jego strony

jakichś... propozycji po powrocie do domu. Gdy nie nastąpiły, odczuła ulgę, ale jednocześnie zawód. Gdy oświadczyła stanowczo, że idzie spać, powiedział, że ma podobne plany.

I tyle.

Po ciemku wymacała lodówkę, wyciągnęła karton soku pomarańczowego i obróciła się w stronę kuchennej lady. W zmroku ujrzała ciemną sylwetkę. Zabiło jej serce i krzyknęła ze strachu.

– Hej, to tylko ja!

Ulga. To głos Jesse’a. Meg jęknęła i przyłożyła dłoń do gardła. Podbiegł do niej i wziął w ramiona.

– Przestraszyłeś mnie! – rzuciła świadoma dotyku jego obnażonej klatki piersiowej.

– Przepraszam, kochanie! – Podtrzymał jedną ręką tył jej głowy, potem przyciągnął. – Wiedziałaś przecież, że... – Reszta zginęła w pocałunku. Meg objęła go za szyję. Była zawieszona w ciemnościach, tracąc jakąkolwiek orientację. Jedyłą rzeczywistością pozostawał ten jej jedyny mężczyzna.

Całował tak długo, że zachwiała się w jego objęciach, osłabiona ogarniającym ją pożądaniem. Głaskał jej ciało niecierpliwymi dłońmi, rozsuwając fałdy szlafroka.

– Brakowało mi ciebie. Już myślałem, że zmieniłaś zdanie – wychrypiał.

– Zmieniłam zdanie? – spytała zagubiona, pijana podnieceniem.

– Na temat nas. – Pochwycił ją w pól, uniósł i przygarnął do siebie. – Na temat dzisiejszego wieczoru.

– Dzisiejszy wieczór był... – Usiłowała jaśniej myśleć. – Był być może przełomowy... ale nie daje ci prawa, żeby mnie wykorzystywać.

– O czym ty mówisz? – Czują, że Jesse sztywnieje i zaczyna się odsuwać.

Powinna teraz znaleźć w sobie siłę, żeby się wyswobodzić z uścisku jego ramion i jego obezwładniającej bliskości.

– Nie pójdę z tobą do łóżka! – krzyknęła. – To, co wydarzyło się czwartego lipca było... błędem. Pomyłką. – Odepchnęła go i cofnęła się o krok chwytając blat lady, by nie upaść.

Zaczął kląć. Usłyszała jego kroki w ciemnościach i po chwili jaskrawe światło zalało pokój. Zobaczyła, że ma na sobie tylko dzinsy. Widziała pęczniejące mięśnie na jego ramionach, gdy zaciskał dłonie w pięści wolno podchodząc. Stał tuż przed nią.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie wiedziałaś o tym, że będę tu na ciebie czekał, pożądając, pragnąc cię?

Zaciskała kurczowo palce na blacie. – A skąd miałam to wiedzieć? Było mi gorąco i miałam pragnienie...

– Było ci gorąco, byłaś podekscytowana, moja miła. Spójrz prawdzie w oczy. I może wyciągniesz odpowiednie wnioski.

– Nie wolno nam tego robić. To nie w porządku. – Paliły ją policzki, czuła się zmieszana, niemniej dumnie podniosła głowę.

– Co jest nie w porządku? Jesteśmy małżeństwem, do diabła!

Potrząsnęła głową mrugając szybko, by ukryć cisnące się do oczu łzy.

– Tylko formalnie. Świstek papieru nie czyni dwojga ludzi małżeństwem. Małżeństwo to wzajemne obowiązki. I miłość...

Jęknął głośno.

– Nie zaczynaj, Meg! Jesteś moją żoną. Ja chcę...

– Ja dobrze wiem, czego chcesz! – Odbiła się rękami od lady i uczyniła dwa kroki w stronę holu. Potem się obróciła i powiedziała:

– Musisz sobie znaleźć inną partnerkę do łóżka. Nie będzie ci trudno. Nawet już wiesz, gdzie szukać.

Odrzuciła się i wybiegła tak szybko, że już nie usłyszała jego wścieklej odpowiedzi:

– Trafiłaś, moja droga! Masz świętą rację. Tak będę musiał zrobić!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wpadłszy do swojej sypialni Meg uderzyła się o krawędź łóżka. Ból wycisnął jej łzy z oczu – te same, które przedtem z trudem powstrzymywała. Ze splecionymi ramionami rzuciła się na bujany fotel. Ogarnęło ją uczucie absolutnej bezradności. Przecież sama pchnęła go w ramiona innej kobiety. Jaki mężczyzna oprze się podobnemu wyzwaniu?

Trzasnęły frontowe drzwi. Zerwała się z fotela i podbiegła do okna. Uchyliła zasłonę. Zobaczyła Jesse'a idącego zdecydowanym krokiem. Nie spojrzawszy ani razu za siebie wszedł do furgonetki, zapuścił silnik i odjechał.

Meg jęknęła, puściła zasłonę. Wstrętny typ! Jeśli mu się zdaje, że będzie siedziała tu przez całą noc, martwiąc się o niego, to się grubo myli.

Poderwała się nieprzytomnie, usłyszawszy ryk samochodowego silnika. Niekończącą się noc spędziła w półdrzemiac w bujanym fotelu. Teraz był poranek, promyki słońca wdzierały się przez zasłony.

Szybko wstała i podeszła do okna. Jesse stał obok furgonetki. Patrzyła zafascynowana, jak ziewa i podnosząc ręce do góry przeciąga się. Odwróciła się gniewnie i odskoczyła na środek sypialni, czując jak rozsadza ją gniew i upokorzenie. Odpowiedź wydawała się oczywista. Jesse spędził noc u Joego Boba. Ale z kim? Z właścicielem rancza czy z gościem...?

Wycofała się do łazienki. Nie mogła Jesse'a o nic pytać po tym, jak mu kazała szukać pocieszenia gdzie indziej.

Jak wiele by to dla niej znaczyło, gdyby sam powiedział, bez pytania, gdzie i z kim spędził noc. Uwierzyłaby mu. Bez względu na to, jak nieprawdopodobnie mogłoby to brzmieć. Jednakże on jej na

pewno nic nie powie. A ona nie zapyta. O, nie!

A więc nic się nie zmieniło. Istniał jeden jedyny sposób odbudowania osłabionych murów obronnych. Trzeba raz jeszcze wycofać się i zacząć postępować z obojętną, zimną grzecznością.

Tylko na krótko, pocieszała się wychodząc spod prysznic. Już jest środa. W niedzielę wraca do Bostonu, żeby tam nie wiem co! Wytrzyma przez cztery dni!

Czy wytrzyma?

Wkrótce stało się jasne, że Jesse zupełnie niezależnie doszedł do tych samych wniosków.

– Doskonała kolacja, Meg!

– Dziękuję, Jesse. Bardzo miło słyszeć te słowa. Weź ten ostatni kawałek kury, bardzo cię proszę.

– Ależ nie, dziękuję. Zjadłem już trzy kawałki, a ty miałaś tylko małe skrzydełko. Ty zjedz.

– Mnie to zupełnie wystarczy. Jeśli nie zjesz, to będę musiała wyrzucić.

– W takim razie jestem zmuszony... oo, i jeszcze jedno, Meg...

– Co takiego? Słucham?

– Dziś ja zmyję naczynia.

– Nie musisz. Zupełnie zbędne.

– Nalegam!

– No to dobrze. Dziękuję. Przyjmuję propozycję z przyjemnością.

Tylko że przyjemności żadnej w tym nie było, myślała Meg idąc spać głodna i nieszczęśliwa w środę wieczorem. Czuła się tak, jakby na złość mamie odmroziła sobie uszy, jak to często lubił powtarzać Thom T.

– Czego chce Randy?

Meg, która z książką w ręku siedziała na skarpie nad Czarcią

Rzeką, podniosła ze zdziwieniem głowę. Przed chwilą oglądała wiewiórki baraszkujące na pobliskim drzewie, usiłując nie myśleć o piętrzących się problemach i nie słyszała nadejścia Jesse'a.

– Chyba tego samego, czego chcą wszystkie siedmiolatki – odpowiedziała po chwili zastanowienia. – Najnowszej gry komputerowej, tortu czekoladowego codziennie na obiad, no i...

– No i obojga rodziców – odpowiedział Jesse siadając obok.

Przygryzła wargi.

– Nnnie wiem. Wielu przyjaciół pochodzi z domów, gdzie jest tylko jedno z rodziców.

– To nie znaczy, że tak powinno być. Spojrzała ukradkiem na Jesse'a. Miał twarz spokojną, ale zaciśnięte usta.

– Masz rację. To nie znaczy, że tak być powinno. Pozwala jednak zrozumieć problem.

– Tak sądzisz? – Wsparł ręce na udach. – A więc, twoim zdaniem, jaka jest trzecia rzecz, której by pragnął.

– Ja wiem, czego ja bym pragnęła. Nie zaczynać tobą – odpowiedziała unikiem – bo wiem, że to, co powiem, przyjmiesz jako krytykę.

– Odpowiedz, zadałem pytanie.

– W istocie. – Przełknęła ślinę. – Wydaje mi się, że Randy chciałby od czasu do czasu... zobaczyć ojca, pobyc z nim. I to nie tylko przy jakichś specjalnych okazjach – pośpieszyła z wyjaśnieniem, nim Jesse zdołał cokolwiek odpowiedzieć. – Tłumaczyłam mu wielokrotnie. Naprawdę tłumaczyłam. Nie chciałam, aby rósł w nim żal do ciebie za wszystko...

– Co mu tłumaczyłaś?

– Że mieszkamy osobno na podstawie obopólnego porozumienia.

– Hola, Meg! Jakież to było obopólne porozumienie?

– A jak to nazwać? – Nastroszyła się. – Powiedziałam mu, że

oboje go bardzo kochamy. Że chcemy dla niego jak najlepiej. Że zawsze będziemy za nim stali i pomagali mu. Że tylko nie zawsze będziemy robili to razem, no i... myślę, że zrozumiał.

– Niby w jaki sposób on to miał zrozumieć, skoro my dwoje tego nie rozumiemy? – Jesse głośno westchnął i smutno pokręcił głową. – Wynika z tego wszystkiego, że to, co może być najlepsze dla Randy’ego, może okazać się jak najgorsze dla nas.

Słów „pogodzenie się” nie wypowiedział, pomyślała z goryczą Meg. Odpowiedziała mu jednak spokojnie:

– To jeszcze dziecko. Nie zdaje sobie sprawy, że lepiej mieć dwoje szczęśliwych rodziców osobno niż razem, ale nieszczęśliwych.

– Szczęśliwych osobno? Ha! – odparł. Meg widziała tylko szparki oczu Jesse’a. – Widzę, że już dokładnie wszystko przemyślałaś.

O tak, bardzo długo nad tym wszystkim myślała. Zarówno przed przyjazdem, jak i podczas pobytu w tej komnacie tortur wakacyjnego domu w teksańskich górach. Wzruszyła ramionami i wstała.

– Dość już tego siedzenia nad rzeką. Nie ma tu co robić. Przygotuję lemoniadę. Napijesz się?

– Zamiast lemoniady wolałbym wreszcie szczerzej, spokojnej wymiany zdań. – Wstał także. – Powiedz mi, Meg, czy Randy chce iść do tej babskiej szkoły?

Już odchodziła, ale to pytanie powstrzymało ją. Zadał je ojciec i miał prawo otrzymać odpowiedź.

– Po pierwsze nie babskiej. I Randy nie chce do niej iść. Ale musiałam się na to zdecydować. Robiłam wszystko, co mogłam. Nie wzięłam stałej pracy tylko dorywczą po to, aby być jak najczęściej z nim.

I właściwie zawsze z nim jestem, ale mimo to wydaje się to za

mało... – Tym razem wypowiadała szczerze swoje myśli. Być może już dawno powinna była podzielić się tym z mężem, ale bała się. Bała się, że Jesse pomyśli, iż Meg nie jest dobrą matką, a wówczas straciłaby przewagę w sprawach dotyczących Randy’ego.

Jesse miał skupioną twarz. Odpowiedział jej głosem łagodnym, bardzo spokojnym:

– Dlaczego mi o tym od razu nie powiedziałaś?

– Nie mogłam. – Zaczęła iść wolnym krokiem w stronę domu, Jesse razem z nią. – Nie sądziłam, że to potrzebne, bo myślałam, że to jest jedynie sprawa krytycznego wieku Randy’ego i że wszystko się ułoży.

Jednocześnie pomyślała: niemądrze sądziłam, że nasza separacja też jest sprawą czasu, że wszystko się ułoży i powrócimy do siebie. Jakże mogłam dopuścić do zlekceważenia problemów wychowawczych Randy’ego, do rozbicia własnego małżeństwa?

Stanęła na ścieżce i obróciła się do Jesse’a desperacko, szukając w jego twarzy jakiejś zachęty.

– Mówię do ciebie! Pomóż mi. Pomóż Randy’emu. Jeśli twoim zdaniem ta szkoła nie jest rozwiązaniem, zaproponuj właściwe, lepsze!

Otworzył usta, by coś powiedzieć, zamknął je, potrząsnął smętnie głową.

– Nie tak łatwo, co? – Wybuchnęła ironicznym śmiechem.

– Wcale nie tak trudno – odparł. – Widzę dwa rozwiązania, ale z pewnością żadne nie będzie ci się podobać.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Odwróciła się i szybko poszła dalej.

– To wolę ich nie słyszeć.

– Mimo wszystko powinnaś usłyszeć. Poprosiłaś o radę.

– Nie wiem, po co miałabym wysłuchiwać czegoś, co i tak

odrzuć. – Byli już przed domem. Otworzyła drzwi kuchenne i weszła. – Mam już zupełnie dość kłótni i spieć między nami. Ze wszystkich sił usiłuję zachować spokój. Chcę rozmawiać, jak przystoi cywilizowanemu człowiekowi. Ty też tego chcesz?

Skinął głową i usiadł za stołem przyglądając się, jak Meg przystępuje do przygotowywania lemoniady.

– Posłuchaj, Meg. Randy powinien więcej czasu spędzać z własnym ojcem. Ja też chciałbym...

– Ty chciałbyś...? – Spojrzała zdetonowana. – Chcesz powiedzieć... – zawahała się – że przyjeżdżałbyś częściej do Bostonu...?

– W żadnym wypadku. Randy przyjeżdżałby do mnie, mieszkał na ranchu w Showdown, chodził do szkoły z normalnymi tamtejszymi chłopcami...

– Miałby chodzić do teksańskiej szkoły? Przenigdy!

– Nie denerwuj się. Powiedziałem przedtem, że widzę dwa rozwiązania.

– To, które zaproponowałeś, jest absolutnie nie do przyjęcia. – Tak się trzęsła, że wypuściła z ręki cytryny, które potoczyły się po ladzie i spadły na podłogę. – Nie zniosłabym tego. Randy jest dla mnie wszystkim, kocham go ponad...

– Ja go też kocham, a chłopiec potrzebuje ojca, tak samo jak matki. Randy mnie potrzebuje i ja... – twarz Jesse'a zrobiła się tkliwa. – Bardzo go potrzebuję. Jest jeszcze drugie rozwiązanie...

– Nie mów dalej! – Zbliżyła się o krok, wyciągając ręce z podniesionym dłońmi, jakby chciała odepchnąć słowa, które zamierzał wypowiedzieć. Oczywiście wyobraźni dostrzegła to drugie rozwiązanie: rozwód, walka o prawa rodzicielskie w sądzie, gorycz przekształcająca się w nienawiść. – Jeszcze jedno słowo na temat tego drugiego rozwiązania, a wyjdę stąd i nie odezwę się do ciebie,

jak długo będę żyła! Przysięgam, że to zrobię!

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej.

Wydawało się, że zabiją się wzrokiem. Jesse wstał i na odchodnym rzucił:

– Jeszcze o tym porozmawiamy, kiedy będziesz spokojniejsza.

– Nie mam zamiaru być spokojniejsza, nie w tej sprawie. Nie mam najmniejszego zamiaru rozpatrywać takiej ewentualności. Koniec.

W rzeczywistości niczego innego nie rozpatrywała w myślach, tylko właśnie to.

– Wspaniały placek.

– To nic takiego. Ciasto było gotowe...

– Ale nadzienie wspaniałe. Moje ulubione nadzienie z dyni.

– Myślałam, że twoim ulubionym nadzieniem są jabłka?

– To moje drugie ulubione. Pierwsze to właśnie dżem z dyni.

– Ale to nadzienie było z puszki.

– Żartujesz? Ale ty je rozsmarowałaś na cieście i włożyłaś do pieca?

– No ja...

– Wspaniała robota. Czy mogę poprosić o jeszcze jeden kawałek?

Wymuszona grzeczność między nimi przetrwała parę dni. Jutro, zanim wsiądzie do samochodu, będzie musiała skończyć z tą kurtuazją, by stawić czoło nieomówionej dotąd sprawie... Rozwód?

W sobotę rano Jesse dosiadł konia i pojechał na przejażdżkę, Meg zaś została w domu. Kręciła się bezcelowo po pustych pokojach. Jutro będę już w drodze do domu, powtarzała sobie. Nie wolno mi się teraz załamać.

Rozwód!

Jedynie wyjście. Doszedłszy już jakiś czas temu do takiego wniosku, usiłowała o tym więcej nie myśleć. Ale dręczyło ją to i doprowadzało do rozpacz. Czytała więc. Przeczytała wszystkie książki, które ze sobą przywiozła. Nie mieli telewizji ani telefonu. Musiała polegać na własnej inwencji, by zapełnić czas i myśli. Nagle sobie przypomniała kuferek z pamiątkami rodzinnymi, z pakietami listów przewiązanych niebieskimi wstążeczkami. Wyciągnęła kuferek, wyjęła listy. Zesztywniały ze starości papier szeleścił. Wygladziła na stole pierwszą z kartek i zaczęła czytać.

*Jones, Teksas, 20 sierpnia*

*Moja Droga Przyjaciółko, Diano!*

*Biorę do ręki pióro, aby Ci donieść, że nasze nieprzewidziane, lecz ze wszech miar szczęśliwe spotkanie sprawiło wielką przyjemność twemu pokornemu słudze... Powrócę do San Antonio w przyszłym miesiącu podróżując w interesach i liczę na spotkanie z Tobą.*

*Twój nowy, lecz głęboko oddany przyjaciel,*

*James Taggart*

*San Antonio, Teksas, 1 października*

*Drogi Panie Taggart!*

*Upłynęły już niemal dwa tygodnie od niefortunnego zdarzenia z panem Freddyem Templetonem. W tym czasie zasypał mnie pan jedenastoma listami oraz polecił doręczyć mi pięć wiązank kwiatów, nie wspominając już nawet o trzech pudełkach czekoladek. Błagam pana, panie Taggart, aby się pan zlitował nade mną, nad moją rodziną, nad służbą pocztową oraz biednymi posłańcami szacownych kupców, którzy zostali upokorzeni moją odmową przyjęcia pańskich wysoce obraźliwych posłań i podarunków. Proszę tego natychmiast*

*zaprzestać, w przeciwnym wypadku bowiem będę zmuszona przekazać sprawę w ręce mojego ojca, sędziego, jak pan to dobrze wie. W sercu swoim musi pan zdawać sobie sprawę, jaka przepaść dzieli nasze rodziny. Przepaść zbyt wielka, aby zwykła ludzka przyjaźń mogła przerodzić się w głębsze uczucie.*

*Niesłuchanie Zakłopotana*

*Diana Lindley*

*20 października*

*Moja Najdroższa Diano!*

*Z wielką uwagą przeczytałem każde słowo Twojego listu z dnia drugiego października i nie jestem zdolny uwierzyć w szczerość Twej absolutnej obojętności, pamiętając zdarzenia, jakie miały miejsce na werandzie, pewnego dnia o pewnej porze. Być może wina jest po mojej stronie, iż nie dość jasno wyjaśniłem uczciwość moich intencji. Zaufaj mi. Choć żyję w inny sposób niż Ty i Twoja rodzina, potrafię Cię uszczęśliwić. Kiedy uporządkuję sprawy związane z ranczem, przyjadę po Ciebie, aby pojąć Cię za żonę, ponieważ Ty właśnie jesteś i na zawsze pozostaniesz moją jedyną miłością.*

*Czule Oddany*

*James*

Gdzie jest odpowiedź Diany? Musi gdzieś tutaj być. Niestety, następny list w paczce nie miał związku z poprzednim. Coś na temat niespodziewanego spotkania w operze San Francisco, pisany przez pana i panią Smith. Na szczęście kolejny list okazał się tym, którego Meg poszukiwała.

*21 października*

*Szanowny Panie!*

*Nie wolno panu pisać do mnie podobnych rzeczy czy nawet tylko*

*myśleć. Napisałam do pana dwa listy, których jednak nie wysłałam, ponieważ doszłam do wniosku, że pierwszy jest zbyt ostry, a drugi zbyt uprzejmy i tym samym nie wyraża moich prawdziwych uczuć. A teraz zamierzam odrzucić wszelką ostrożność i donieść panu, że pan Freddy Templeton, którego być może pan sobie przypomina, poprosił o moją rękę. Obiecałam dać mu odpowiedź do Święta Dziękczynienia. Proszę pana, by zechciał się w przyszłości powstrzymać od niepotrzebego wspomniania mojego, przyznając, lekkomyślnego postępowania. Odmawiam panu również prawa do robienia aluzji co do wspólnej z panem przyszłości. Mam nadzieję, panie Taggart, że zastosuje się Pan do moich życzeń!*

*Z poważaniem*

*Diana Lindsey*

*10 listopada*

*Miłości Moja, Ukochana Diano!*

*Twój ostatni list wzburzył mnie niezmiernie. Po dłuższej rozwadze jednak doszedłem do wniosku, że poddajesz jedynie próbie szczerość moich oświadczeń. Dlatego przybędę w przeddzień Święta Dziękczynienia, aby pokłonić się o Ciebie Twemu Ojcu. Zapewniam Cię, że choć tak krótko się znamy, czuję, że tę więź, która nas łączy, jedynie śmierć potrafi rozerwać. Zrozumiałem to od pierwszej chwili, kiedy Cię ujrzałem.*

*Wierzę, Moje Dziewczę Ukochane, że wkrótce będziesz moją. Chcę również, abys wiedziała, że mężczyźni z rodu Taggartów są wierni aż do śmierci. Moja miłość do Ciebie jest niezmienna i wieczna. Zostań moją żoną!*

*Twój na zawsze James*

*Rozgorączkowana Meg zadumała się. Mężczyźni z rodu*

Taggartów są wierni aż do śmierci! Wówczas mogło to być prawdą, ale czy jest nadal? Więż łącząca przed stuleciem Jamesa i Dianę – czy może się powtórzyć? Czy może dotyczyć Jesse'a i Meg?

Zdała sobie sprawę, że jeszcze dziś trzeba będzie rozwikłać problem dotyczący ich małżeństwa. Jutro, w niedzielę, będzie już za późno. Jutro ich drogi się rozejdą, być może na zawsze. Wpadła w panikę.

Kiedy powrócił Jesse i powiedział jej, że wybiera się na przyjęcie na ranchu Joego Boba, oświadczyła, że jest również zaproszona i pójdzie tam z nim razem.

Zabawa trwała już w najlepsze, kiedy Jesse i Meg zjawili się na ranchu. Meg nigdy tu przedtem nie była, więc nie mogła robić żadnych porównań, ale to, co teraz zobaczyła, było imponujące. Wszystko było czyściutkie jak nowe, doskonale zaplanowane. Wszędzie świeża farba. W celu pomieszczenia większej liczby turystów, dawny budynek został poważnie rozbudowany. Wydłużony barak stojący nie opodal miał dumny szyld „Kowbojowka”. Było to dawne pomieszczenie pracujących na ranchu kowbojów, ale teraz służył także jako hotel dla gości ze wschodu.

Ruszt ustawiono wśród drzew małego zagajniczka na skraju podwórza. Był wielkości małżeńskiego łóża, wsparty na ceglanej podbudowie sięgającej pasa. Skwierczały teraz na nim najprzeróżniejsze mięsa, które Joe Bob pieczołowicie smarował przy pomocy wielkiego pędzla raz po raz zanurzanego w kubelku z bulgoczącą na skraju rusztu przyprawą. Kuchmistrza otaczała grupka ludzi w różnym wieku, najrozmaiciej ubranych, począwszy od miejskiego przyodziewku, aż po pseudokowbojskie ubiory, które przybywający do Teksasu „cepyry” uważają za obowiązkowe.

Oprócz tej gromadki sporo ludzi stało pod rozpiętym

baldachimem, gdzie miejscowa orkiestra kończyła właśnie stroić instrumenty, a po chwili zaczęła grać.

Joe Bob w białej czapie kuchmistrza oderwał się od swego zajęcia i powitał radośnie Jesse'a. Jego wzrok padł na Meg i uśmiech zniknął mu z twarzy, jakby jej obecność wytrąciła go z równowagi.

– Halo, Meg – powiedział niepewnym głosem. – A jednak cuda się zdarzają.

– Twoje zaproszenie było zbyt serdeczne, bym mogła je zignorować. – Meg uśmiechała się słodziutko.

– Mam też bagniska na Florydzie, które mogą cię zainteresować. – Ciężki i nieprzyjemny był to dowcip, ale nie zareagowała. – Słyszałem, że nas jutro opuszczasz – ciągnął. – Co za szkoda!

– Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy – odparła, ale przedtem pytająco spojrzała na Jesse'a.

– Czy przez całą noc zamierzacie skakać sobie do oczu? – Jesse poczuł się nagle nieswojo.

Meg i Joe Bob potwierdzili prawie jednocześnie: – Przez całą noc. – Po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

– Obiecuję być bardzo grzeczny, jeśli odpłacisz mi tym samym – zaproponował Joe Bob. – Ostatecznie chodzi tylko o paręnaście godzin.

Wytań dłoń o fartuch opinający wydatny brzuch i wyciągnął ją w stronę Meg. Przyjęła po króciutkim wahaniu. Ale natychmiast o nim zapomniała, bo właśnie pojawiła się Suzi i stojąc na palcach pocałowała Jesse'a w ucho. Na plus Jesse'a należało zapisać fakt, że szarpnął się, jakby go ukąsiła żmija.

Może zrobił to nawet za szybko... Czyżby...? Nie bądź śmiesznie podejrzliwa. Meg skarciła siebie w duchu. Jesse na pewno nie zrobił nic, co upoważniałoby tę dziwkę... Na szczęście Suzi, rzuciwszy Jesse'owi uwodzicielskie spojrzenie, przeniosła uwagę na Joego

Boba obejmując go ramionami, jakby do niej należał.

Może i należał. Meg miała nadzieję, że tak właśnie jest.

Podeszła do nich kobieta w średnim wieku w wypłowiałych dżinsach i znoszonych teksańskich butach, niosąc potężnej wielkości blaszane wiadro.

– Cześć, kochanie! – powitała Jesse’a. – Teraz, kiedy patrzę z bliska, to ta twoja żonka wcale nie jest podobna do najstarszej córki Cartera Dobbinsa.

– Obdarzyła Meg miłym, ciepłym uśmiechem.

– Cześć, Ido Mae! – Jesse przejął od niej wiadro pełne fasolki w pachnącym bosko sosie. Zwrócił się do Meg: – To jest moja...

– Doskonale pamiętam – przerwała. – Ida Mae Tuttle, od teksasburgerów spod Samotnej Gwiazdy. Bardzo mi miło panią spotkać.

– Mnie również! – Ida Mae uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Zanieś, chłopcze, moją fasolkę na piknikowe stoły – poleciła Jesse’owi i natychmiast powróciła do rozmowy: – Bardzo chciałam panią poznać już wtedy, kiedy braliście ślub. Ale nie było okazji.

– No bo... nie było mnie... – wyjąkała Meg.

– Wiesz, moja droga – Ida Mae przeszła na „ty”.

– Poruszyłaś bardzo istotną sprawę, tak, tak... Nieczęsto tu przebywacie państwo oboje. Najpierw myślałam, że przeniosłaś się tu na stałe, ale potem dowiedziałam się, że tylko na miesiąc miodowy. No, ale wtedy to nie mogłam przecież wam przeszkadzać.

Ida Mae rzuciła niepewne spojrzenie w stronę Joego Boba i Meg pojęła, że to on robił od lat plotki na jej temat.

– No cóż, Joe Bob nie płaci mi za stanie i mielenie językiem – powiedziała. – Muszę jeszcze zrobić sałatkę kartoflaną. I niech wam smakuje moja fasolka.

Rzeczywiście fasolka była wspaniała. Wszystko inne też, łącznie

z kartoflaną sałatką. Joe Bob miał pieczę nad długim stołem zastawionym półmiskami, na drewnianej desce krajał płaty pieczonej wołowiny, dzielił żeberka na porcje, odcinał ze skwierczących pęt kawałki wonnych kielbasek. Natomiast Ida Mae zajmowała się podawaniem sałatek, fasolki, kolb kukurydzy i bułeczek. Twarz jej promieniała, gdy ładowała stertę przysmaków na talerz Meg, która siedziała między Jesse'em a handlującą nieruchomościami panią z San Francisco.

Meg czuła się zupełnie spokojna, napięcia ustąpiły. Czyżby to była świadomość nieuchronności wyjazdu następnego dnia i jego konsekwencje? Ich małżeństwo wkrótce się zakończy. Nie miało teraz sensu dalsze rozpatrywanie dawnych urazów. To wszystko przestało już być ważne. Straciła Jesse'a. Kiedy będą wracali z przyjęcia do domu, powie mu, że zaraz po przyjeździe do Bostonu wniesie sprawę o rozwód.

Jednak ten spokój miał smak słodko-kwaśny. Trzymać się, trzymać...! I kiedy przyszła do niej Suzi oświadczając, że „pożycza” na jeden taniec przystojnego małżonka, nie mrugnęła nawet okiem. Kiedy jednak Jesse wzruszył ramionami i objął Suzi, aby ją poprowadzić na prowizoryczny parkiet z desek, Meg wstała i poszła w stronę wybiegu dla koni. Oparłszy się o ogrodzenie, wpatrzyła się w chodzące po polanie wierzchowce.

Oślepiło ją zachodzące słońce, więc zamknęła oczy. Myślała o mężu. On również był dzisiaj jakiś przygnębiony, mało uczestniczył w wygłupach Joego Boba. Być może on także wyciągał ostateczne wnioski równocześnie z nią, chociaż osobno.

Znacznie później, kiedy ponownie spotkali się przy dzbanku lemoniady, zapytała:

– Piwa dzisiaj nie chcesz?

– Pomyślałem sobie, że dzisiaj muszę zachować pełną

przytomność umysłu – odparł ponuro, napełniając szklanki. – Ty też jesteś dzisiaj jakaś nieswoja.

– Może jestem tylko trochę roztargniona. Mam dużo na głowie. Ty pewno też. – Wzruszyła ramionami.

– Trafiłaś w dziesiątkę! – Odstawił szklankę ze znacznie większą siłą, niż należało. – Powiedz mi, kiedy będziesz gotowa do powrotu do domu.

– Oczywiście.

Patrzyła za nim, gdy odchodził przeciskając się pomiędzy grupkami ludzi i żałowała, że nie wyraziła od razu chęci powrotu.

Zapadła noc. Joe Bob rozpałił ognisko, wokół którego wszyscy się zebrali i zaczęli śpiewać przy wtórze gitary. Z rosnącym smutkiem Meg wpatrywała się w płomienie. Trzasnęło polano i posypały się iskry wysoko w powietrze. Przypomniało jej to sztuczne ognie podczas święta Czwartego Lipca. Ujrzała po drugiej stronie ludzkiego kręgu twarz Jesse'a. Wlepione w nią oczy wyrażały niepewność i oczekiwanie.

Patrzyła w te oczy. Ogarnęła ją przemożna chęć, by podbiec do niego, objąć go ramionami i powiedzieć, że to wszystko nieprawda. Przecież nie zamierzała wyjeżdżać na stałe. Chciała mu tylko dać nauzkę.

Kiedy była już gotowa podnieść się z miejsca, zobaczyła, że koło niego siada Suzi. Coś mu powiedziała, on się gwałtownie obrócił w jej kierunku. Meg widziała powagę malującą się na ich twarzach. Odwróciła głowę, oczy zaszyły łzami.

W parę minut potem, gdy Jesse sam zaproponował powrót do domu, przyjęła propozycję bez wahania.

Piękną noc rozświetlało światło księżyca. Siedziała w furgonetce Jesse'a.

– Jesteś dzisiaj bardzo małomówny – odezwała się po dłuższym

milczeniu.

– Rozmyślam. – Wypowiedział to jedno słowo ostrym tonem, jakby miał za złe, że mu przeszkadza.

Ujechali z półtora kilometra, kiedy Meg ponownie przerwała milczenie:

– Przyjemnie spędziłam czas. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili.

– Z wyjątkiem Joego Boba.

– Przecież Joe Bob to Joe Bob. Jak na niego zachowywał się zupełnie dobrze. – Patrzyła na profil Jesse’a w mroku.

– Ale to mój przyjaciel. Powinien postępować inaczej wobec ciebie.

– Mylisz się – odparła Meg. – To ty jesteś jego przyjacielem. – Nie było powodu, dla którego miałyby mu oszczędzać nagiej prawdy. – Bardzo wiele mu dałeś. Toczyłeś jego bitwy, odwoziłeś go do domu, kiedy był pijany, łagodziłeś stworzone przez niego sytuacje. Ale co on kiedykolwiek zrobił dla ciebie?

– Wszystko, o co go poprosiłem.

– Być może. Tylko że ty nigdy o nic nie prosiłeś, z wyjątkiem przyjaźni. A jeśli kiedykolwiek nastąpi konflikt między jego interesami a twoimi, to wtedy się przekonasz, czy Joe Bob Brooks naprawdę jest twoim przyjacielem, czy nie.

Jesse skręcił na drogę prowadzącą do domu.

– Nie o nim myślałem przez cały wieczór – powiedział.

– Wiem. – Przygotowywała się na tę chwilę prawdy. Zaraz mu to powie. Powie, że ma już dosyć tego udawania, że chce rozwodu.

– Tak sądzisz? Wątpię, czy wiesz, o czym myślałem.

Tak niespodziewanie zahamował, że o mało nie uderzyła czołem w przednią szybę.

Wyłączył reflektory, zgasił silnik i obrócił się ku Meg. Wciągnął

głęboko powietrze i... nic nie powiedział.

Czuła, że powinna mu jakoś pomóc w rozpoczęciu tego tematu. Litując się nad losem ich obojga poklepała jego dłoń.

– No, proszę. Zaczynaj. Powiedz, co trzeba powiedzieć. Obiecuję ci, że nie będę krzyczała, wrzeszczała, rzucała przedmiotami.,

– Wszystko to obiecujesz? Naprawdę? – zapytał zdziwiony.

– Szczerze obiecuję. Tyle już sobie powiedzieliśmy przykrych rzeczy, że trzeba ten finał uczynić jak najmniej bolesnym. – Trzymaj się, nakazała sobie w duchu. – No więc mów, co masz do powiedzenia, ja słucham.

Spięła się cała w oczekiwaniu i bezwiednie zacisnęła palce na jego dłoni. Usłyszała głos płynący z mroku, jakby z oddali.

– Masz rację. Zamierzam powiedzieć coś, czego przysięgałem sobie, że nigdy nie powiem. Ale niech będzie. Może zakrztuszę się własnymi słowami. – Ponownie wciągnął głęboko powietrze.

Meg siedziała jak skamieniała. Cóż to za tortura, to wyciąganie z niego ostatecznej decyzji rozejścia się.

– Mówże wreszcie, co masz do powiedzenia – nie wytrzymała i chlusnęła słowami. – Chcesz rozwodu, to musisz o to poprosić. O to ci chodzi? Tak? O to? Chcesz skończyć z fikcyjnym małżeństwem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zawołał. – Zbieram odwagę, żeby... – Jęknął. – Meg, zbieram odwagę, żeby ci coś zaproponować! Dajmy naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę. Spróbujmy! Co powiesz?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Meg zaczęła cała dygotać. Czy dobrze zrozumiała?

Jesse mocno ścisnął jej ramię.

– Nie przestałem cię kochać, Meg – powiedział, jakby przyznawał się do wielkiego grzechu. – Bóg mi świadkiem, starałem się, bardzo chciałem...

– Mężczyźni z rodu Taggartów są wierni aż do śmierci. Twój prapradziadek, James, pisał tak do twojej praprababki, Diany. – Zdumiała się własnym głosem.

– Miał rację – jęknął Jesse. – Ja też od pierwszego na ciebie spojrzenia wiedziałem, że jesteś dla mnie jedyną kobietą na świecie.

Otoczył jej plecy ramionami. Meg dygotała. Bała się odezwać.

– Może mówisz tak tylko ze względu na Randy'ego – powiedziała jednak wbrew sobie.

– Wcale nie! – obruszył się, gładząc jej twarz z czułością. – Mówię tak tylko ze względu na nas. Ty również nie przestałaś mnie kochać. Myślę, że brakowało ci mnie równie silnie, jak mnie brakowało ciebie. Byłaś jednak zbyt dumna, żeby się do tego przyznać.

Przyciągnął ją ku sobie. Poddała się z ulgą.

– Niby ty nie jesteś dumny i uparty – wyszeptała. Ogarnięta falą tak długo tłumionego uczucia także ujęła jego twarz w swoje dłonie.

Doszukiwała się zachłannie szarych oczu, wydatnych kości policzkowych, zmysłowych ust – tych wszystkich cech, które składały się na tę ukochaną twarz.

– Jeśli idzie o ośli upór i dumę to możemy z powodzeniem ze sobą konkurować – stwierdził. – Pomyślałem, że przecież ktoś musi zrobić pierwszy krok, bo inaczej osiwiejemy, nim którekolwiek z nas przyzna, że jesteśmy sobie przeznaczeni. – Wargami muskał

obejmujące jego twarz dłonie. – Chcę, abyś znów była moją żoną.

– Nigdy nie przestałam nią być – odparła.

– Wiesz dobrze, o czym mówię. – Zniecierpliwiony – pokręcił głową. – W każdym znaczeniu tego słowa.

Chcę cię mieć w moim domu i w mojej sypialni. Nie chcę szukać cię tysiące kilometrów stąd. I nie zgadzam się, żebyś mnie kiedykolwiek znów opuściła.

– Chcesz bardzo dużo! – wyjąkała.

– Oddam bardzo wiele, aby to mieć.

– I coś jeszcze? – pytała bez sensu dalej.

– Oczywiście. Chcę jasnej odpowiedzi na moją propozycję.

– Dobrze.

Siedzieli dość sztywno w ciasnym i ciemnym pomieszczeniu szoferki. Wyczuwała instynktownie, jak rośnie jego napięcie. Wreszcie nie wytrzymał, poruszył się niespokojnie i wyrzucił z siebie:

– Co dobrze? To nie były żarty. Oczekuję odpowiedzi, Meg.

– O Jesse, drogi! – Rzuciła mu się na szyję ze śmiechem. – Tak! Tak!

Jesse wydał dziki okrzyk radości. Przeciągnął Meg z siedzenia szoferki na swoje kolana. Objął ją.

– Wiesz co? Bałem się, że trzepiesz mnie w gębę i każesz wynosić się, gdzie pieprz rośnie.

– A ja myślałam... – Jego zaciskające się ramiona tamowały jej oddech. – Myślałam, że zbierasz odwagę, aby wreszcie zaproponować mi rozwód.

– Taggartowie się nie rozwodzą!

Jego usta poszukiwały jej ust. Jedynie Jesse potrafił wywołać drżenie jej kolan i pragnienie natychmiastowego poddania się.

– Jesse!

– Mhh? – mruknął.

– Dlaczego siedzimy w szoferce furgonetki, kiedy moglibyśmy już tam być... razem?

– Chciałaś powiedzieć w łóżku, kochając się? – Zatrząsał się powstrzymywanym śmiechem. – Zawsze byłaś wielką pragmatyczką. A co powiesz, jeśli ci zdradzę, że nie mam zamiaru czekać na powrót do domu, by się z tobą kochać?

– Co powiem?... Że musielibyśmy być akrobatami, by dać sobie radę w tej szoferce...

– Trzeba w takim razie pomyśleć o innym rozwiązaniu. – Jego głos wibrował radością. Przyciągnął ją jeszcze mocniej. – Kocham cię, Meg! Byłem głupi, że ci pozwoliłem odejść. Po raz wtóry nie zrobię już podobnego błędu. Rozumiesz?

– Czy to ma oznaczać, że będę już na zawsze skazana na kochanie się z tobą w szoferce?

– Nie. To oznacza, że się zgadzasz, że... – cicho się roześmiał – zasługujemy na siebie.

– O tak, tak. Z tym się zgadzam.

Nagle zapaliła się górna lampka i w jej świetle Meg ujrzała rozpalone namiętnością oczy Jesse'a. Otworzył drzwi od szoferki i z uśmiechem podał jej dłoń. Zawahała się.

– Chodź ze mną – powiedział łagodnym głosem. Przez długą chwilę wpatrywała się w jego twarz i wreszcie wyciągnęła dłoń poddając się jego woli. Wyniósł ją z szoferki, potem wyciągnął pled.

– To szaleństwo! – Rozejrzała się dokoła.

– Nie ma tu nikogo. Założę się, że nigdy w życiu nie oddałaś się mężczyźnie poza łóżkiem.

Poczuła, że robi się czerwona z oburzenia.

– Dokładnie wiesz, gdzie i kiedy się kochałam, bo zawsze tam ze mną byłeś.

– Ach prawda, zupełnie zapomniałem! – Odciągnął ją od samochodu i zatrzasnął drzwiczki.

– Już chyba o tym wiesz, że... ja też cię kocham – powiedziała cicho i jakby wstydliwie.

– Ja o tym wiem. Tylko nie byłem pewien, czy ty wiesz – odparł..

– Teraz wiem na pewno. Właściwie zawsze o tym wiedziałam. Kocham cię, Jesse.

Poprowadził ją przez łąki, pod drzewami, aż na brzeg Czarnej Rzeki. Rozłożył pled.

Gdy klękał koło niej, na jego palcu błysnęła w świetle księżyca obrączka.

– Poczekaj chwilkę. Musisz mi coś powiedzieć – szepnęła.

– Nie teraz – odparł zduszonym głosem.

– Teraz, Jesse, bardzo proszę. –Dotknęła serdecznego palca jego lewej ręki. – Powiedz mi, dlaczego nosisz obrączkę? Czyją włożyłeś dlatego, że Thom T. kazał ci tu przyjechać? – Była pewna, że będzie się wykręcał:

– Chętnie bym ci odpowiedział, że stale ją nosiłem, ponieważ nie miałem wątpliwości, że się wreszcie zejdziemy z powrotem. – Zawahał się.

– Ale to nie byłaby prawda?

– Nie, to nie byłaby cała prawda – przyznał. – Po pierwszych dwóch latach doszedłem do wniosku, że prędzej w piekle zaczną produkować śmietankowe lody, niż nasze małżeństwo ożyje.

– Wtedy zdjąłeś obrączkę...?

– Ja jej nigdy nie zdjąłem. A ty?

– Oczywiście, że nie.

– Pewno ją nosiłaś ze względu na Randy’ego? Nigdy nie zastanawiała się nad tym, dlaczego ją nosiła, ale w jego

przypuszczeniu było chyba dużo racji. Chciała odpowiedzieć, ale przerwał:

– Już dobrze. Zadałaś pierwsze pytanie i otrzymałaś odpowiedź.

– Przez chwilę się wahał, a potem zaczął szybko mówić: – Z początku myślałem, że wrócisz, ale kiedy zdałem sobie sprawę, że się zacięłaś, miałem zamiar rzeczywiście zdjąć obrączkę. Jednak pomyślałem sobie, że to jest swojego rodzaju tarcza przed zbyt drapieżnymi kobietami.

– Czy tarcza spełniła swoje zadanie? – spytała.

– Z początku doskonale. Potem było gorzej.

– Ooo! – z trudem wydała ten jeden odgłos. Nastąpiła długa cisza. Potem Jesse wyszeptał:

– Kłamię, kłamię. Nosilem tę cholerną obrączkę, dlatego że w głębi duszy miałem nadzieję, że któregoś dnia znowu będziemy razem. Razem. Tak jak teraz.

Leżeli obok siebie na pledzie, trzymając się za ręce, patrząc na rozgwieżdżone niebo przez gałęzie drzew.

– Jesteś piękna – powiedział Jesse. – Za każdym razem jestem zaskoczony. Ubierasz się bardzo nobliwie, a jest w tobie tyle ognia, że wystarczyłoby, żeby spalić całe Chicago i na dodatek jeszcze Dallas.

– Bardzo wysoko sobie cenię twoją opinię. Mimo wszystko nie jestem przecież panną Suzi Sherman.

– Suzi kto? – Pochylił się nad Meg, przesłaniając jej nie tylko niebo, ale i cały świat.

– Jutro lecę z tobą do Bostonu, abyśmy mogli wspólnie obwieścić nowinę Randy’emu – oświadczył.

– Ach, jaki on będzie szczęśliwy! – Wtuliła się mocniej w jego ramiona.

– Nie tylko on będzie szczęśliwy. Jestem przekonany, że obaj

niecni dziadkowie odetchną z ulgą.

– Czyżby? Miałam wrażenie, że Thom T. mnie właściwie nie lubi.

– Bo nigdy nie miał okazji cię poznać, kochanie. Ale on kocha swojego wnuka i zrobi teraz wszystko, by cię pozyskać. Zobacysz. A kiedy cię już lepiej pozna, to oszaleje na twoim punkcie. Natomiast twój dziadek, to znacznie gorsza sprawa...

– To bardzo miłutki staruszek.

– Miłutki staruszek, który bezlitośnie kontroluje finanse i polityczne losy tysięcy ludzi!

– Dziadek pragnie tylko mojego i Randy’ego szczęścia. Jeśli przy okazji ty w tym szczęściu weźmiesz udział, to dziadek nauczy się ten fakt tolerować.

– Wspaniały jegomość. Nie ma co mówić!

Wrócili do domu o wschodzie słońca, które tym razem zapowiadało dla Meg coś znacznie więcej niż kolejny dzień. Miała wrażenie, że rozpoczyna nowe życie, które niesło ze sobą wielką obietnicę.

Jesse zgasił silnik i uśmiechnął się do Meg. Mimo braku snu nie wyglądał na zmęczonego. Meg też przecież nie zmrużyła oka, a czuła się zupełnie świeżo.

Poprawił jej niesforny lok.

– Wyglądasz niesłychanie podniecająco. Człowiek nabiera ochoty...

– Zamknąć dom na cztery spusty i ruszyć w drogę – dokończyła odsuwając go dłonią. – Jeśli się pośpieszymy, to jeszcze dziś złapiemy samolot. – Sięgnęła do klamki drzwi.

– Poczekaj! – wykrzyknął. Wyskoczył z furgonetki i wyciągnął rękę do Meg.

– Co ty znowu knujesz? – zapytała podejrzliwie.

– Chcę cię przenieść przez próg, aby rozpocząć nasze drugie małżeństwo we właściwy sposób. – Zagarnął ją w ramiona, wniósł na schodki ganku i otworzył drzwi kluczem, a następnie zaniósł triumfalnie przez hol do sypialni.

Nim zdołała zaprotestować, zamknął jej usta pocałunkiem. Okazało się, że nie warto protestować...

Dopiero koło dziesiątej rano zabrali się do śniadania. Byli strasznie głodni, więc Meg przyrządziła suty posiłek. Zjedli i wypili wszystko z apetytem.

– Co trzeba zrobić, żeby przygotować dom do snu na czas naszego wyjazdu? – spytała patrząc, jak Jesse smaruje sobie masłem kolejną maślaną bułeczkę.

– Najpierw muszę zająć się końmi. Trzeba je spędzić. Potem muszę pojechać na ranczo Joego Boba i powiedzieć mu, że mnie nie będzie i nie pomogę mu z kolejną imprezą, którą szykuje na następną sobotę.

– Biedny Joe Bob. Zostanie sam. – Uśmiechnęła się sarkastycznie. – A co ja mam zrobić w domu?

– No to, co zwykle się robi. – Zatoczył ręką krąg. – Zapakować rzeczy, zdjęć pościel z łóżek. Thom T. płaci tu komuś za robienie okresowych porządków.

– No, to do roboty. – Zaczęła zbierać brudne naczynia ze stołu. – Myślę, że zrobię ze dwie rundy prania. – Spojrzała na niego bacznie, marszcząc czoło. – A co ty zrobiłeś ze swoim praniem? Ja ci nic nie prałam i wiem, że nie używałeś pralki.

– Oddałem je komuś... – Był wyraźnie zaskoczony i speszony.

– Komu? – Wyobraźnia Meg wywołała wizerunek blond uwodzicielki. – Znam tego kogoś?

– Po co ci to wiedzieć? – Spochmurniał.

– Aha, więc jestem zbyt ciekawa? – Podniosła dumnie głowę. –

Gdybym była naprawdę ciekawa, to bym cię zapytała, gdzie spędziłeś tamtą noc, kiedy... rozdzieliła nas różnica opinii...

– A gdybym ja z kolei chciał być taki ciekawy, to bym... – przerwał, ale oczy mu gorzały. Opanowywał się z wielkim wysiłkiem. – Teraz nie czas zajmować się takimi rzeczami. Ale jeszcze porozmawiamy o tych sprawach.

– Chcesz powiedzieć, że...? – urwała wściekła, że w ogóle zaczęła.

Tak naprawdę to nie sądziła, by tamtej noc zrobił coś... niewłaściwego, ale w tym momencie pojawiły się wątpliwości. Jakakolwiek jednak miałyby być prawda, nie chciała teraz tego roztrząsać. Pragnęła tylko pamiętać o odnalezionym szczęściu, otoczyć się rzeczywistością mającą jedynie happy endy i wierzyć w taką rzeczywistość.

– Masz zupełną rację. Teraz nie czas na takie rzeczy – zgodziła się szybko.

Jesse wydawał się zdziwiony, ale jego uśmiech wszystko rozwiązywał. Wziął ją w ramiona.

– Nawet na minutę nie mam ochoty zostawiać cię samej – powiedział muskając ustami jej włosy. – Czy jesteś pewna, że nie można by znaleźć chwili...

– Kocham cię, Jessie Jamesie Taggarcie. – Roześmiała się, mimo iż ścisnęła ją w gardle. – Jesteś niepoprawny, ale cię bardzo kocham.

– Czy mam to rozumieć jako zgodę...?

– Ooo, z pewnością nie. – Przytuliła się i odeszła. – Będzie bez liku okazji. A teraz do roboty. Mały czeka na nas w Bostonie.

– Jak mawia mój dziadek, nigdy nie należy odkładać na jutro tego, co można zrobić dziś. – Oczy mu błyszczały. Przyciągnął ją znowu do siebie.

– Jesse! – skarciła go ostro.

– Już idę, już idę! – oświadczył i po kolejnym ognistym pocałunku odszedł.

Robota jakoś jej nie szła. Po zdjęciu prześcieradeł z małżeńskiego łóżka wręcz zastygła nagle, stojąc z nimi nad materacem i bezmyślnie się uśmiechała. Dopiero po dłuższej chwili wyzwoliła się z transu.

Zaniosła pościel do alkowy, gdzie stały pralka i suszarka i nastawiwszy pranie poszła do małej sypialni, w której przez tyle dni spał Jesse. Na ziemi przed łóżkiem zobaczyła cały stos koszul i spodni. Czy też wszyscy mężczyźni rzucają zdjęte spodnie i brudne koszule, gdzie popadnie? Schyliła się, zebrała leżące rzeczy i zanosła do prania.

Utrzymywanie porządku to jedna ze spraw, które będą musieli w przyszłości przedyskutować. Była pewna, że teraz uda się dojść do porozumienia we wszystkim. Zaczęła segregować koszule i spodnie, dzieląc kolory oraz rodzaj materiałów i opróżniając kieszenie.

Przez cały czas pławiła się w marzeniach o nadchodzącym szczęściu z Jesse'em w atmosferze wzajemnego zrozumienia, miłości i zaufania.

Z kieszeni kurtki Jesse'a wyciągnęła... coś. Coś czarnego, koronkowego. Najpierw patrzyła na to ze zdumieniem, a następnie z rosnącym przerażeniem.

Była to czarna koronkowa bluzka, ostatni raz widziana przez Meg na obfitych kształtach panny Suzi Sherman. Meg rozpaczliwie szukała jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia: ta blond wampirzyca miała to na sobie tego dnia, kiedy Meg spotkała ją w barze.

Jednakże Suzi wyszła z baru w towarzystwie Joego Boba, Jesse i Meg natomiast powrócili razem do domu, gdzie rozpoczęli pamiętną kłótnię.

Meg przypomniała sobie własne słowa: „Musisz sobie znaleźć

inną towarzyszkę zabaw. Wiesz dobrze, gdzie jej szukać”.

I jego odpowiedź: „Bardzo dobra sugestia”.

Odjechał furgonetką i wrócił następnego dnia o świcie. Teraz nie ma już chyba najmniejszych wątpliwości, dokąd się udał i gdzie spędził noc.

I nie ma wątpliwości, że nic się nie zmieniło od owej strasznej awantury przed pięciu laty, zakończonej wyjazdem Meg do Bostonu.

Skulona na podłodze koło pralki Meg przeżywała ponownie ów wieczór sprzed pięciu lat...

Tamtego dnia również patrzyła na niego z rozpaczą w oczach. Krzyknęła:

– Jesse! Szminka na kołnierzu koszuli!

– Wyślij do pralni – odpowiedział. – Mają teraz doskonałe środki...

– Mnie nie obchodzi twoja głupia koszula! Chcę wiedzieć, skąd się na niej wzięła szminka.

Miała przecież prawo o to zapytać. Ale Jesse zacisnął usta, a na jego twarzy pojawił się ten okropny wyraz zaciętości i uporu.

– Chcę wziąć prysznic, Meg – odparł spokojnie. – Dopiero co tarzałem się w pyle zrzucony przez konia. Nie jestem w nastroju, żeby po powrocie do domu wysłuchiwać żony, która...

– Przyzwoitość nakazuje wytłumaczyć się...

– Ja się nigdy nie tłumaczę.

– Jesse, nie odchodź, kiedy ja do ciebie mówię, Jesse...!

– Powiedziałem ci, że muszę wziąć prysznic.

– A ja ci powiedziałam, że chcę wiedzieć, skąd na twojej koszuli wzięła się szminka.

Pokrzykując poszła za nim do łazienki. Ze stoickim spokojem zdjął z siebie strój wkładany przez kowbojów na rodeo.

– Żądam odpowiedzi, Jesse!

– Wiesz przecież, że nic nie słyszę, kiedy jestem pod prysznicem.

Dygocząc z wściekłości szarpnęła drzwi i wpackowała się do środka. Ich twarze zaledwie o paręnaście centymetrów od siebie ociekały wodą, a oczy stały błyskawice. Woda spływała z jej głowy na bawełniane spodnie i jedwabną bluzkę. Nie zwracała na to uwagi.

Chciała poznać prawdę na temat tej szminki tak bardzo, że mało brakowało, a posunęłaby się do błagania. Gdyby ją wziął w ramiona i powiedział, że ta szminka nie ma absolutnie żadnego znaczenia, toby mu uwierzyła. Byłaby gotowa wówczas przemilczeć nawet kilka blond włosów, które przed paroma tygodniami znalazła na jego marynarce. Jednak zamiast poprosić, wbiła palce w jego piersi i odepchnęła go krzyżąc:

– Jesteś mi winien wyjaśnienie!

– Jestem ci winien miłość – odparł. – I masz ją. Winien ci jestem szacunek. I masz go. Winien ci jestem wierność i też ją masz, do jasnej cholery! – krzychał, zaciskając boleśnie palce na jej ramionach. – Potrzęsnał nią. – No? Może byś coś na to odpowiedziała?

– Owszem, powiem, że chcę dokładnie wiedzieć skąd się ta szminka wzięła na twojej koszuli!

Cofnęła się o krok, woda chlupotała w jej pantoflach.

– Skoro tak chcesz. Tak czy inaczej nie miałem ochoty na żadną rozmowę. Będziemy się porozumiewać... na wyższym szczeblu.

Przyciągnął ją do siebie i przywarł do jej ust namiętym pocałunkiem. Nie mogła sobie pozwolić na coś podobnego, w żadnym wypadku! To była kapitulacja. Stwierdzając to zamknęła oczy i otoczyła go ramieniem.

Kiedy ją niósł do sypialni, zapomniała o gniewie, oporze, żalach i rozpaczach. Później wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. Później, to

znaczy kiedy zadzwoniono z komisariatu, że zatrzymano Joego Boba w stanie alkoholowego zamroczenia, i kiedy Jesse natychmiast wstał z łóżka, aby pójść i wpłacić kaucję za swego przyjaciela, zostawiając Meg samą.

A sprawa zabrudzonej szminką koszuli jej męża była nadal niewyjaśniona... i ta wściekłość na samą siebie, że wystarczy, by Jesse ją dotknął, a może wszystko od niej mieć, bez potrzeby tłumaczenia się z czegokolwiek.

Dość tego!

Nim wydobył Joego Boba z aresztu i ten wytrzeźwiał, była już w drodze do Bostonu. Wybrała zasadę, że kiedy nie ma szansy na zwycięstwo, trzeba odejść. W ten właśnie sposób usprawiedliwiała wobec siebie ów w zasadzie irracjonalny postępek.

Irracjonalny, ale będący rezultatem głębokiej rozpacz.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z oczami pełnymi łez Meg klęczała przed pralką mnąc w dłoniach czarną koronkę, załamana i nieszczęśliwa. Przypomniała sobie pogardliwe słowa Jesse'a: „Te cepry odwiedzające Teksas gotowe są we wszystko uwierzyć”.

To właśnie jestem ja, pomyślała. Gdybym nie była „ceprem”, to nie uwierzyłabym w jego miłość.

Przez pięć minionych lat unikała go i starała się nie analizować swoich uczuć. A potem – z powodu wmieszania się w ich małżeństwo dwóch wścibskich, choć mających dobre intencje, starców – została zmuszona do stawienia czoła oczywistemu faktowi, że nadal kocha Jesse'a i że zawsze go będzie kochała. Myślała, iż tym razem wszystko potoczy się inaczej.

Z drugiej strony, jeśli on jej nie kocha, to po co nalegał na odnowienie ich małżeństwa?

Narzucała się jedyna oczywista odpowiedź: dla dobra ich syna.

Oboje przyjechali do tego miejsca z powodu Randy'ego. Tylko z jego powodu Jesse był gotów przyjąć matkę chłopca, włączyć ją ponownie do swojego życia. I jak zwykle na swoich warunkach.

Czy mogła to akceptować i z tym żyć? Nawet tak bardzo go kochając i zdając sobie sprawę, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie zajmował w jej życiu takiego miejsca jak Jesse. Czy powinna to akceptować?

Zdecydowanie nie.

Oślepiąca łzami rzuciła ze wstrętem czarną koronkę, wstała i chwyciła torebkę. Nie zmieniła ubrania, nie zapakowała neseseru ani torby. Zawahała się dopiero z ręką na klamce wynajętego samochodu.

Wróciła do domu i stanęła ponuro nad obciążającym Jesse'a

dowodem w postaci czarnej bluzki. Nerwowo obracała złotą obrączkę na palcu. Nigdy jej nie zdjęła od dnia, kiedy Jesse włożył ją na jej palec. Obrączka nie chciała się teraz zsunąć. W panice pobiegła do kuchennego zlewu i oblała palec płynem do zmywania naczyń. Gorączkowo usiłowała ściągnąć z palca obrączkę, jakby paliła jej skórę. Wreszcie udało się, obrączka poszybowała i upadła... na czarną koronkę.

Przez chwilę się w nią wpatrywała poprzez ławą mgłę. Potem wybiegła z domu, zatrzaszczając za sobą nie tylko drzwi, ale rozdział życia.

Jesse przyjechał konno na ranczo Joego Boba i zsiadł przed samym wejściem. Przerzucił wodze przez słupek i ruszył w kierunku gospodarza, który wystawił głowę przez uchylone drzwi.

– Akurat trafiłeś na jedzonko – powiedział Joe Bob.

– Dziękuję ci bardzo, ale już jadłem. Najwyżej wypiję trochę kawy, jeśli to nie sprawi kłopotu.

Wszedł za gospodarzem do domu. Nie czekając na dalsze zaproszenie nalał sobie kawy ze szklanej bańki, stojącej na podgrzewaczu w pobliżu drzwi. Joe Bob wrócił za zagracone biurko, na którym stała również taca ze śniadaniem. Jesse z krytycznym rozbawieniem obrzucił wzrokiem całe to nieporządne gospodarstwo. Biedny Joe Bob potrzebuje kogoś do opieki. Szkoda, że Wanda tego wszystkiego nie wytrzymała. Taka kobieta raz tylko mogła mu się trafić. Może nie zdawał sobie sprawy, jaki posiada skarb. Czasami wydawało się, że Joe Bob celuje w samoniszczeniu się.

– Co tak patrzysz? – zapytał Joe Bob. Przerwał posiłek spoglądając srogo. – Nigdy nie widziałeś, jak ktoś je?

– Widziałem, jak jedzą konie. Tak samo. – Jesse odsunął stos papierów, by móc usiąść na kanapce.

– I po to tu przyjechałeś, żeby dokuczać mnie biednemu?

– Nie. Przyjechałem po to, żeby powiedzieć tobie, biednemu, że dzisiaj wyjeżdżam. Nie będzie mnie, więc ci nie pomogę, tak jak obiecałem.

– A to mi przyjaciel! – wykrzyknął oburzony Joe Bob rzucając łyżkę. – Aleś przyjaciel! – powtórzył.

– Wiem, że jestem dobrym przyjacielem – odparł Jesse.

– A gdzie cię tak nagle ponosi? – Joe Bob patrzył przez szparki oczu. Po chwili twarz mu się rozjaśniła uśmiechem. – Założę się, że wiem. Znudziła ci się ta twoja sztywna panna zasadniczka. Wiedziałem doskonale, że ten tak zwany drugi miesiąc miodowy...

– Skończ! – warknął Jesse.

Joe Bob aż otworzył usta ze zdumienia. Jesse patrzył na swego wieloletniego przyjaciela, a w głowie zaczęła mu kielkować bardzo nieprzyjemna myśl.

Czyżby Meg miała rację w ocenie tego człowieka? A jeśli naprawdę Joe Bob nie lubił Meg, nigdy jej nie lubił i zawsze robił wszystko, aby podważyć ich małżeństwo i zatruć życie Meg? Podobna możliwość zaczęła niepokojąco nękać Jesse'a.

– Mój drogi, źle się wybrałeś i nigdy podobnej bzdury nie słyszałem. A w ogóle, co ty masz przeciwko Meg?

– Chyba to samo, co i ty – wyrzucił z siebie grubas. – Co się z tobą dzieje? Ja przecież jestem po twojej stronie. Oddałbym ci prawą rękę. Chcesz mojego najlepszego konia albo dziewczkę? Bierz. Poczekaj, zaraz tu zawołam naszą Suzi...

– Dość tych głupot! – Jesse czuł wzbierający w nim niesmak. – Możesz mi zrobić tylko jedną przysługę...

– Powiedz tylko co, a spełniam! – Joe Bob ekspansywnie rozwarł ramiona.

– Przepróż moją żonę. Jesteś jej to winien.

– Jeszcze co? – Joe Bob zerwał się z fotela. Niebieskie oczy

rozwarły się ze zdumienia. – Przed chwilą powiedziałeś, że stąd wyjeżdżasz, więc co ona cię obchodzi?

– Wcale nie powiedziałem, że wyjeżdżam bez niej. Powiedziałem po prostu, że wyjeżdżam. Z nią. Lecimy do Bostonu zabrać stamtąd mojego syna i wracamy na wspólne gospodarstwo. – Wypowiedzenie tego sprawiło Jesse’owi ulgę. Jego gniew zaczął opadać. Joe Bob to porządny chłop. Meg się myliła. Joe Bob nie miał i nie ma żadnych złych intencji.

– Więc posłuchaj no! Ja nie jestem tej kobiecie nic winien, a zwłaszcza żadnych przeprosin. – Joe Bob wyglądał na rozczarowanego.

– Jak sobie chcesz. Nie sądzę, byś bez takich przeprosin mógł kiedykolwiek uzyskać jej aprobatę, nie mówiąc już o sympatii. A ja jestem obowiązany stać po jej stronie. Joe Bob, przecież chodzi tylko o to, żebyś powiedział, że wszystko, co mówiłeś, było w żartach, no i żebyś obiecał, że w przyszłości trochę przyhamujesz! Czy to takie trudne?

– Ja się nigdy nie tłumaczę. To objaw słabości.

Jesse z hałasem odstawił kubek na blat stołu.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek... – zamilkł uświadamiając sobie, że przecież to samo powiedział kiedyś Meg i to właśnie doprowadziło do kryzysu w ich małżeństwie. Wcisnął kapelusz na głowę i ruszył w kierunku drzwi. – Zrobisz, co zechcesz! – rzucił za siebie.

– Dajże spokój, Jesse! – Joe Bob wybiegł za Jesse’em na dwór. – Ta kobieta nie jest ciębie warta. Poza tym nie mam nic przeciwko niej. Pomyśl! Jaka to kobieta rzuca męża na pięć lat? Powinieneś być się ożenić z jakąś Teksanką z prawdziwego zdarzenia.

– Taką jak na przykład Wanda? – odparował słodko Jesse.

Joe Bob zaczerwienił się.

– To było poniżej pasa, kolego. Wanda mnie nie rzuciła. To ja ją wyrzuciłem.

Było to tak oczywiste kłamstwo, że Jesse poczuł prawie litość. Wzruszył ramionami.

– Joe Bob, jesteś moim przyjacielem od bardzo wielu lat. Nigdy nie sądziłem, że będę ci musiał powiedzieć to, co teraz muszę...

– Jesse! Pozwolisz, żeby stanęła między nami jakaś kobieta?

– Nie jakaś kobieta, a moja żona. Przez wiele lat usprawiedliwiałem cię przed nią. Ba, nawet sam wierzyłem w te usprawiedliwienia. Ale skończyło się. Oświadczam ci uroczyście, że albo przeprosisz Meg, albo koniec naszej wspólnej drogi.

Jesse ujął wodze i wsiadł na konia. Lekko i zwinnie. Gdy go obracał, pojawiła się Suzi. Pomachała do Jesse'a i podeszła do Joego Boba. Objęła go w pasie i stanęła na palcach, by pocałować w policzek.

Joe Bob stał jak osłupiały, zupełnie ją ignorując. Wyglądał na chorego.

I naraz Jesse'a przestało to wszystko obchodzić. Czekala na niego w domu kobieta, którą kochał.

Którą kochał i której ufał. Która kochała go i ufała mu.

Jadąc do San Antonio Meg nie dostrzegala nawet piękna letniego dnia. Czy Jesse już wrócił do domu? Czy zrozumiał, że wyjechała? Czy bardzo się przejął?

Z oczu ciągle płynęły jej łzy utrudniając widzenie drogi. Czy to zresztą ważne, czy Jesse się przejął? I tak za nią nie pojedzie. Jesse nigdy nie wyjaśnia, nie przeprosza i za nikim się nie ugania.

A jednak miała nadzieję, że może... Dość tego mazgajenia się, rozkazała sobie. Jak mogła dopuścić do tego, że po raz drugi w życiu wpakowała się w podobną sytuację? Czy nigdy nie zmądrzeje? Trzeba raz wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy: tacy ludzie jak Jesse

nigdy się nie zmieniają.

Jesse wprowadził konia w galop i zaczął myśleć o czekających go czynnościach. Nie mógł się jednak skoncentrować płynąc na fali radosnego uniesienia. Żałował, że musi tracić czas na spędzanie stada. Powiedział Thomowi T., że dwa dobre wierzchowce wystarczą, ale dziadek się uparł i przysłał osiem koni. W rezultacie trzeba teraz zapędzić wszystkie konie na zamknięte pastwisko, z którego ludzie Thoma T. zabrają je później na rodzinne ranczo. Chociaż szkoda, że koni nie można tu zostawić. Byłby początek nowego stada. Jesse chętnie pohodowałby sobie tutaj konie, ujeżdżał je...

Żyliby sobie z Meg i Randym jak w raj. Stał w strzemionach i porozglądał się dookoła. Chociaż najlepiej czuł się w siodle, wprost uwielbiał te chwile, to jednak dziś jego myśli i serce były zupełnie gdzie indziej. Tym razem już nie w Bostonie, do którego przez tak długi czas je kierował. Wśród uparciuchów Meg zajmowała poczesne miejsce.

Kiedy wówczas wyjechała, jego pierwszym odruchem było po nią pojechać i zabrać z powrotem do domu. Drugim odruchem, na który się ostatecznie zdecydował, było danie jej czasu, by mogła sobie zdać sprawę ze swego błędu.

Zawiodła go wtedy ta strategia i dlatego teraz zdumiewało go, że jednak po tylu latach przynosiła chyba dobre rezultaty.

Mam nadzieję, że Meg będzie już spakowana, gdy wrócę, myślał. Ale się Randy ucieszy!

W pobliżu San Antonio ruch na szosie zgęstniał.

Lotnisko znajdowało się na północ od miasta. Wkrótce Meg wjeżdżała na parking firmy, z której wypożyczyła samochód. Nie mając bagażu uporała się szybko z oddaniem wozu. Czuła się trochę głupio podróżując w adidasach, džinsach i bawełnianym

podkoszulku. Dziadek na pewno się skrzywi, gdy ją tak zobaczy na lotnisku w Bostonie. Zamierzała bowiem prosić go o odebranie jej z lotniska i odwiezienie do domu. Stojąc w kolejce do rezerwacji biletów przestała się przejmować własnym strojem, gdyż nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Nie tylko czuła się, ale i była zupełnie sama. I pozostanie sama przez resztę życia. Mając już kartę pokładową w rękę rozejrzała się, gdzie by tu znaleźć jakieś zaciszne miejsce na parę godzin oczekiwania na odlot.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie kupić w kiosku gazety czy książki, ale doszła do wniosku, że to bezcelowe – nie potrafi skoncentrować się na czymkolwiek innym poza swym osobistym dramatem.

Jesse pędził stadko koni w kierunku rancza. Zdawał sobie sprawę, że zanadto się spieszy i tym samym właśnie opóźnia powrót. Zwierzęta jakby wyczuwały jego wielkie podniecenie i same podniecone rozbiegały się w różne strony. Musi wziąć się w garść.

Rozmyślał nad przyszłością i zdecydował, że skończy od razu z rodeo. Trzeba to zrobić, zanim któregoś dnia wyniosą go w kawałkach z areny. I nie musi wcale wracać do Rocking T. Wszystko, czego mu potrzeba, ma tutaj.

I nazwie to ranczo Potrójne T. – troje Taggartów: Meg, Randy i Jesse.

Czy Meg się na to zgodzi?

Wpędzając konie na szlak uśmiechał się do siebie. Jeśli nie, to znajdą jakiś inny kompromis. Jak tylko będą razem, wszystko stanie się możliwe. Meg już nigdy go nie opuści.

Nigdy.

Ciekawe, czy on wrócił już na ranczo i czy zdał sobie sprawę, że jej nie ma?

Może właśnie w tej chwili biega dookoła wykrzykując jej imię. Potrafiła sobie nawet wyobrazić rosnącą panikę w jego głosie. Jakże mogła to sobie wyobrazić? Przecież nigdy nie słyszała Jesse'a przerażonego. Jeśli ją kocha, to chyba w jego głosie musi pojawiać się strach, że ją po raz drugi traci.

I tym razem traci ją na zawsze. Musi sobie zdawać z tego sprawę.

Ale pewno zareaguje tylko tak, jak poprzednio. Oczywiście! Mimo że wystarczyłoby, by tylko wyjaśnił. Niczego innego nie oczekiwałyby teraz. Bez wątpienia mężczyzna może mieć kołnierzyk koszuli zabrudzony szminką bez żadnej z jego strony winy. Ale czy można bez winy nosić w kieszeni czyjaś koronkową bluzkę? Chyba jest tylko jeden powód?

Czy rzeczywiście? A jeśli jest nawet inny, to przecież nie wolno tego nie wyjaśnić. Przecież on sam powiedział jej w czasie tamtej rozmowy, że gdyby to nie chodziło o szminkę, ale o damskie majtki w kieszeni, to byłaby zupełnie inna sprawa.

No i znalazła coś w rodzaju bielizny. A to jest już zupełnie coś innego niż szminka na kołnierzyku.

Nagle pojawiła się nowa bardzo niepokojąca myśl: jeśli Jesse popełnia ten sam błąd nie chcąc się wytłumaczyć, to i ona popełnia go także po raz drugi, obracając się na pięcie i odchodząc!

Zalewały ją fale wątpliwości i pytań: Czy jestem sprawiedliwa wobec Jesse'a? Czy nie działam pochopnie? Czy naprawdę podejrzewam Jesse'a o zdradę?

Jesse zapędził stado do zagrody i nie zsiadając z konia zamknął i zabezpieczył furtkę. Tych kilka rozbrykanych dzikusów wzbilo tyle kurzu, jakby ich było ze trzydzieści, pomyślał zsiadając z gniadego. Zarzucił wodze na słupek, zrobił kilka kroków w stronę domu i stanął niepewny.

Coś tu nie pasowało.

Dopiero po paru sekundach zdał sobie sprawę, że nie ma samochodu Meg. Ruszył długimi susami do domu powtarzając sobie, że wszystko jest na pewno w porządku i nie należy się przejmować. Zapewne pojechała w jakiejś sprawie do miasteczka. Na pewno zostawiła mu kartkę. Zaraz będzie się śmiał ze swojego przeczulenia i chwili paniki.

Szarpnął drzwi i głośno ją zawołał. Mogła przecież pożyczyć komuś samochód, a sama być w domu. Powitała go cisza.

Krótkie spojrzenie na kuchnię i salonik potwierdziło, że nikogo tam nie ma. Szybkimi krokami przeszedł hol i zajrzał kolejno do wszystkich sypialni. Były puste. Wrócił do kuchni – co do diabła?...

Jego niespokojny wzrok napotkał stos rzeczy do prania leżących przed bębniem pralki. Zrobił krok w tamtym kierunku. Zawróciłby, gdyby jego uwagi nie przykuł jakiś błysk. Pochylił się i zlodowaciałymi nagle palcami podniósł obrączkę. Obrączka Meg! Serce podskoczyło mu do gardła.

Chwycił też rozpostartą pod obrączką czarną materię i potrząsnął nią, żeby zobaczyć, co to jest. Podkoszulek? Chyba dla jakiegoś dziecka. Dopiero po pewnej chwili zorientował się, że jest to rozciągliwy, koronkowy materiał. I wówczas skojarzył to z Suzi. Przecież widział ją niedawno właśnie w czymś takim!

Skąd się to tu wzięło? Ukląkł i zaczął przerzucać pozostałe sztuki ubrania usiłując rozwiązać zagadkę.

Kurtka z dżinsowego materiału, którą wielokrotnie nosił po przyjeździe na ranczo. Co się tutaj dzieje? Odruchowo włożył rękę do kieszeni i trafił na coś podłużnego. Wyjął. Szminka! I już wszystko wiedział. Ktoś go podpuszczał! Bruździł przeciw Meg. I wiedział doskonale, kto to zrobił!

Najgorsze, że Meg wyjechała. No tak, doszła do wniosku, że jej

mąż zabawia się z kobietami. Przestała mu ufać.

Miała po temu podstawy. I tym razem nie miał prawa mieć o to do niej pretensji.

Przy bramce wejściowej na stanowisku odlotu ogłoszono piętnastominutowe opóźnienie.

Meg opadła z powrotem na fotel, patrząc tępo na trzymany w rękę bilet. Ścisnęła ten bilet już tak długo w spoczonej dłoni, że był cały wymiętoszony.

Ona też czuła się wymiętoszona. Psychiczenie.

I obserwowana przez wszystkich. Odosobnienie się skończyło. Przy bramce czekał spory tłumek pasażerów w różnym wieku, różnej narodowości. Pary, rodziny... Odwróciła do nich wzrok.

Myśli krążyły jej bezładnie po głowie, zawsze jednak wracając do tego samego punktu: mija ostatnia szansa!

Dlaczego od niego odchodzi, skoro go kocha?

Jeśli on nie potrafi się zmienić, to czy nie mogłaby uczynić tego ona?

– Uwaga, uwaga, pasażerowie lecący do Bostonu... Bezpośrednie połączenie ze stanowiska...

Zerwała się. Nadeszła chwila ostatecznej decyzji.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Przepraszam, bardzo przepraszam! – przepychała się przez zbity tłum, przeciskała między ludźmi w kierunku bramki, przy której stewardesa sprawdzała karty pokładowe. Ludzie ustępowali jej niechętnie, źli na kolejne opóźnienie.

Kiedy potem biegła długim korytarzem w stronę głównego holu, wszyscy patrzyli na nią ciekawie. Zupełnie jej to nie obchodziło.

Przy stanowisku biletowym zastała długą kolejkę. Zawahała się. Zależało jej, aby wrócić jak najszybciej na ranczo, jednakże jej wychowanie w zbożnej zasadzie oszczędzania nakazywało najpierw zwrócić bilet i uzyskać zwrot pieniędzy.

Uspokajała się, że to nie potrwa długo. Stała na końcu kolejki, zagryzając z niecierpliwością wargi i usiłując spokojnie ustać w miejscu.

Stojąca przed nią kobieta obejrzała się z miłym uśmiechem.

– Ja też się niecierpliwę – powiedziała do Meg. Kolejka troszkę się posunęła i kobieta pchnęła nogą stojącą obok niej walizkę. – Daleko pani leci?

– Już nigdzie nie lecę – odparła Meg odczuwając nagle wielką ulgę. Pomachała wymiętoszonym biletem, potem schowała go do tylnej kieszeni džinsów i wilgotne dłonie otarła o uda. – Chcę zwrotu pieniędzy za bilet do Bostonu.

– Mieszka pani w Bostonie?

– Tak... To znaczy mieszkałam...

– Dom jest tam, gdzie nakazuje serce – przerwała jej kobieta z poważną miną. – A ja lecę do Forth Worth odwiedzić moją siostrę.

Kolejka posuwała się opieszale, ludzie rozmawiali, Meg przestępowała z nogi na nogę, stale na nowo zastanawiając się, czy nie zrezygnować ostatecznie ze zwrotu pieniędzy za bilet i nie

pędzić, gdzie nakazuje właśnie jej serce. Coraz ostrzej uświadamiała sobie bezsens swojego zachowania. Jakże mogła! Należało najpierw wyjaśnić wszystko z Jesse'em. Nie wolno było uciekać, zanim tego nie zrobiła. Ale ilekroć już decydowała się, żeby wyjść z kolejki, ta posuwała się na tyle, by znów ją zachęcić do pozostania.

– A dokąd to panienka leci?

W pierwszej chwili Meg nie zorientowała się, że pytanie jest skierowane do niej, gdyż zadał je jakiś mężczyzna stojący nieco dalej. Skrzeczący głos...

– Ta pani leci do Bostonu – odparła za nią kobieta lecąca do Forth Worth, dając jednocześnie do zrozumienia Meg, że to o nią właśnie chodzi.

– Właściwie to ja... – zaczęła Meg, ale mężczyzna jej przerwał:

– No, no, to bardzo ciekawe...!

Meg zdrętwiała. Boże, to przecież Jesse. Jakże mogła nie poznać tego głosu? Mimo zdenerwowania, jakże mogła nie rozpoznać, że to jego głos! Choć specjalnie go zmienił... To jest Jesse, Jesse! Nim zdołała otworzyć usta, dopadł do niej i chwycił za ramię. Patrzyła na tę najcudowniejszą na świecie twarz i tego objawienia nie mogły zatrzeć ani jego gniewne oczy, ani żelazny uścisk na ramieniu.

– Jesse! – ledwo wyszeptała.

– Nie potrzebujesz żadnego biletu!

– Ale...!

– Zamilknij i pocałuj mnie!

Zamknął jej usta gwałtownym pocałunkiem. Ugięły się pod nią kolana: jest tutaj koło niej, jest przy niej, zrobił to, co wydawało się nie do pomyślenia – przyjechał po nią. Przyjechał!

Jesse głęboko zaczerpnął powietrza.

– Ten pocałunek tak był mi potrzebny jak woda na pustyni. A teraz zmykajmy stąd.

Potrząsnęła głową nie mogąc dobyć głosu z krtani. Przyjął to za odmowę.

– Nawet o tym nie myśl! Nie ma dyskusji. Do Bostonu nie lecisz. A gdybyś pojechała, to ja pojechałbym za tobą. Nie uciekniesz ode mnie. Znajdę cię nawet na krańcu świata.

Ponownie potrząsnęła głową chcąc mu dać tylko do zrozumienia, że żadne szukanie jej na końcu świata nie będzie potrzebne, bo ona nie ma zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Serce tłukło jej w piersiach tak mocno i tak miała ściśniętą krtani, że nie mogła dobyć słowa.

Znowu nie zrozumiał, jego wzrok gorzał.

– Słuchaj no! – powiedział tak głośno i z taką złością, że w kolejce umilkły rozmowy. – Wybaczam ci, że jesteś na mnie wściekła. I nawet rozumiem dlaczego. Ale drugi raz już ode mnie nie uciekniesz!

– Jesse, ja muszę... – wreszcie wydobyła głos, ale jej przerwał.

– Nic nie musisz, nigdzie nie polecisz. Przecież staram ci się wytłumaczyć. Nic nie zawiniłem. Zresztą posłuchaj, co mój tak zwany przyjaciel ma do powiedzenia na ten temat. Widzisz, że aż się palę, żeby ci to powiedzieć. Tylko go wysłuchaj, o nic więcej nie proszę! – Wskazał Joe Boba.

Joe Bob stał w głębi uśmiechając się głupawo i przestępując z nogi na nogę. Gdy się zbliżył, Meg bezwiednie wydała krótki okrzyk.

Wyglądał, jakby wpadł do sieczkarni. Był pokaleczony, jedno oko miał podbite, drugie przekrwione, policzki i brodę pokancerowane. Kowbojska kraciasta koszula z pourywanymi guzikami zwisała smętnie, wetknięta w podarte džinsy. Nawet kapelusz na głowie był bezkształtny i wymorusany, jakby wyjęty z błota. I ten wyraz twarzy – nieszczęśliwego mopsa, który usiłuje wejść w łaski swego pana!

Meg przenosiła wzrok z Joego Boba na męża i z powrotem nic nie rozumiejąc.

– Czy miałeś jakiś wypadek? – zapytała wreszcie.

– Żeby to był wypadek, byłbym szczęśliwy – wymamrotał Joe Bob płaczliwie. – A potem jeszcze ta jazda. Nigdy nie przypuszczałem, że od nas do San Antonio można przyjechać w niespełną godzinę.

Zdjął z głowy kapelusz kuląc się jednocześnie, jak przed jakimś niewidzialnym atakiem.

– Jesse mnie tak załatwił. I chyba zasłużyłem. Tym razem tak. Biję się w piersi. – Spojrzał z ukosa na przyjaciela.

– Pobiliście się? – spytała Meg zaskoczona.

– Nie, skąd! – zaprzeczył Joe Bob. – Bijaliśmy się wprawdzie od małego, ale tym razem to Jesse sprawił mi wielkie lanie... Kara boska.

– Przestań pleść, Joe Bob – mruknął groźnie Jesse. – Powiedz Meg, jak to było.

– No właśnie się do tego zabierałem... – bąkał Joe Bob i znów obdarzył Meg tym głupawym, bladym uśmiechem. – Bo widzisz, to było tak... – Wzrok wlepił w czubki swoich kowbojskich butów. – Taki sobie żarcik zrobiłem z mojego drogiego przyjaciela, Jesse'a. – Zachichotał.

Nikt mu nie zawtórował. Joe Bob przełknął ślinę i podniósł głowę jakby zdumiony.

– No bo on wtedy przyszedł późno... a właściwie to już było po północy, po tamtym wieczorze...

– Po jakim wieczorze? – niecierpliwiła się Meg.

– Po tym wieczorze, kiedy wsiadłem do samochodu i pojechałem sobie po awanturze z tobą – odpowiedział jej Jesse. – Znalazłem nocny bufet i usiadłem tam pijąc kawę. No i zacząłem rozmyślać...

co dalej i w ogóle. A w drodze powrotnej do domu zatrzymałem się na ranchu Joego Boba.

– Ha! To brzmi prawie jak próba tłumaczenia się! – wykrzyknęła Meg z zachwytem. Rozsadzała ją radość: Jesse się zmienił! Zdobył się na to, by wyjaśniać jej i tłumaczyć się...

– Masz zamiar mnie dobijać? – spojrzał spode łba. – Joe Bob, kowboju, mów dalej i to szybko! Jazda!

– Już, już, nie denerwuj się – wymruczał Joe Bob.

– Już mówię, jak każesz. No więc Jesse wpadł do nas na rancho... a ja tej nocy miałem... towarzystwo, więc włożyłem mu parę rzeczy do kieszeni, bo sobie pomyślałem, że jak to potem kto znajdzie, to będzie się bardzo śmiał... – Joe Bob ponownie zachichotał.

Kobieta stojąca w kolejce przed Meg aż się nachyliła, by lepiej usłyszeć.

– A co mu pan tam włożył do kieszeni? – spytała zgorszonym szeptem.

– Przepraszam, ale to jest prywatna rozmowa przyjaciół! – nastroszył się Joe Bob.

– Ładnych mi przyjaciół! – Kobieta zeszywniała i hardo podniosła głowę. – Wystarczy na pana spojrzeć. Mając takich przyjaciół lepiej zaprzyjaźnić się z wrogami.

Na szczęście ostry głos stewardesy, wzywający zza komputera następnego klienta, zażegnał konflikt.

Obrażona kobieta podniosła walizkę i podeszła do lady. Na pożegnanie rzuciła na Joego Boba miażdżące spojrzenie.

– Mów dalej. Powiedz wszystko! – rozkazał Joemu Jesse, wlepiając jednocześnie w Meg rozogniony wzrok.

– Powiem wszystko, nic się nie denerwuj! – Joe Bob do reszty zmiętosił kapelusz w niespokojnych dłoniach. – No bo ja przez cały

czas brałem jego pranie. To znaczy, nie ja sam prałem, ale on przynosił swoje pranie do mnie i razem z moimi rzeczami wszystko szło do pralki. – Wciągnął głęboko powietrze, jakby zbierając się na odwagę. – To ja cię bardzo przepraszam, Meg, jestem ci winien te przeprosiny. Wiem, że mi nigdy nie wybaczysz, bo ja na twoim miejscu, też bym pewnie nie wybaczył. Ale ja cię przepraszam i chcę, żebyś wiedziała, jak mi przykro, że ze mnie taki był drań i sukinkot...

– Wyparz sobie język! – uciszył go Jesse.

– Już się robi, Jesse, przepraszam, Jesse. – Potężne ciało jakby się skurczyło. Joe Bob zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy. – Bardzo mi przykro, Meg. Strasznie cię przepraszam, ale myślałem sobie, że to tylko taki żarcik...

Meg wiedziała, że to nie był żaden żarcik. To była zła wola, złe zamiary wobec niej i zwykła niechęć do żony przyjaciela. Po prostu Joe Bob chciał mieć swego przyjaciela z dzieciństwa tylko dla siebie. Nie miał zamiaru z nikim go dzielić, a zwłaszcza z jakąś tam Jankeską.

A że Jankeską była uparta, dumna i zacięta, tym łatwiej przyszło mu snuć intrygi. Manipulować Jessem i nią. O nie! Meg nie była na tyle głupia, by akceptować teorię niewinnych żarcików.

– Następny! – wezwała znowu stewardesa. Wezwanie dotyczyło tym razem Meg. Widząc jak

podchodzi do lady, Jesse złapał ją za rękę usiłując zatrzymać na miejscu. Chciała ją wyszarpnąć.

– Nic po tobie w tej kolejce – powiedział ostro.

– Mam do załatwienia sprawę i załatwię ją – odparła stanowczo. Zbladł.

– A więc po tym wszystkim jeszcze mi nie wierzysz? – Wydawał się jak ogłuszony. – Niech będzie. Wobec tego muszę ci powiedzieć

wszystko.

– O mój Boże! – jęknął Joe Bob.

Stanęli teraz z boku rozmawiając w napięciu, przyciszonymi głosami, które tylko czasami przebijały się przez szmer głosów otaczających ich ludzi. Meg była świadoma jedynie tego, że jej ukochany Jesse jest wreszcie gotów mówić na tematy, które dawniej były tabu, gdyż w jego opinii upokarzały go.

– No więc ta szminka wtedy na koszuli. Skąd się wzięła... Schodziłem z areny podczas rodeo prawie nieżywy, a tu jedna zwariowana miłośniczka takich jak ja męczenników rodeo leci i rzuca mi się na szyję.

– Jesse z niesmakiem machnął lekceważąco ręką.

– Kręciła się koło mnie od początku tych zawodów, sam nie wiem, dlaczego. Przypięła się właśnie do mnie. Głupia siksa, ale uparta. Wiesz przecież, jak trudno mieć szacunek do kobiety, która tak postępuje. Wiesz, Meg, prawda?

– Tak, tak, one obsiada człowieka i nie ma ratunku! – odezwał się sentencjonalnie Joe Bob potakując głową. – Żaden kowboj nie ma wtedy szansy. Żeby tam nie wiem co robił. – Zdał sobie sprawę, że pograża może trochę Jesse'a, więc szybko dodał: – To znaczy żaden zwykły kowboj nie da im rady, ale Jesse to specjalny przypadek. Nigdy nie uganiał się za takimi dziewczynami, a nawet je przeganiał, jak mógł...

– Zamknij się, Joe Bob.

– Już się zamykam, Jesse, już się zamykam!

– Idź sobie kupić kubek kawy. Albo jeszcze lepiej: weź furgonetkę i wracaj do siebie. – Jesse wyjął z kieszeni klucze i rzucił je w powietrze.

Joe Bob złapał je jak tresowana małpka.

– No dobrze, a jak ty...? – Krótkie spojrzenie na Jesse'a

wystarczyło, by nie dokończył pytania. Podniósł obie ręce do góry: – Dobra, dobra, nie moja sprawa... – Po chwili milczenia spojrzął spode łba na Meg i niepewnie powiedział: – Do widzenia, miło było cię spotkać. – Patrzył na nią lękliwie, ale z nadzieją, jak pies.

– Joe Bob! – odezwała się.

Joe Bob lekko zeszywniał i wyprostował ramiona, jakby spodziewał się ciosu.

Meg pochyliła się ku niemu i z naciskiem, szczerze powiedziała:

– Nie zamydlisz mi oczu. Nie jestem Teksanką, ale nie spadłam też pod końskie kopyta. Nie chciałabym, abyś odjechał pod wrażeniem, że choćby na chwilę uwierzyłam w twoje bajki o niewinnych żarcikach.

Joe Bob jakby posmutniał. Przemykał spojrzeniem z Meg na Jesse'a, ale u niego też nie znalazł poparcia.

– No cóż, dziękuję, że mi to powiedziałaś. – Zabrzmiało to wręcz patetycznie.

– Co powiedziawszy – ciągnęła Meg z westchnieniem rezygnacji – jestem gotowa dać ci drugą szansę.

– To znaczy? – Ożywił się.

– To znaczy, że nie uknęę ci łba, pozwolę dalej żyć, ale jeśli jeszcze raz, jeden jedyny raz spróbujesz podobnych kawałów, jak je nazywasz, to nie odpowiadam za to, co się stanie.

Wydawało się, że Joe Bob z radości o mało nie wyskoczy ze skóry, podbiegnie do Meg i zacznie ją ścisnąć.

Aby to uprzędzić, odgrodziła się wyciągniętą dłonią.

– Umowa stoi?

– A jakże, stoi, stoi! – potwierdził gorliwie, chwycił jej dłoń zaczął nią potrząsać. – Margaret, kochana, nie jesteś Teksanką, ale równa z ciebie dziewczyna...!

– Nie przesadzaj, nie przesadzaj – odezwał się Jesse. – Dość tego

dobrego.

Joe Bob czym prędzej puścił dłoń Meg i pogalopował nie oglądając się za siebie. Jesse przyjrzał się Meg spod oka.

– Byłaś bardzo łaskawa wobec Joego Boba. Podziwiam cię. Podziwiam cię też za co innego: że nie należysz do gatunku kobiet, które obcałowują nieznanych mężczyzn.

Patrzyła mu prosto w oczy i pomyślała, że Jesse naprawdę nie jest takim zwykłym kowbojem, ale kimś bardzo specjalnym, jak to powiedział trafnie Joe Bob. I co więcej – naprawdę nie znosi agresywnych kobiet.

Tymczasem Jesse mówił dalej:

– Ja nigdy właściwie nie wiedziałem, jak to jest z tymi kowbojami, dlaczego dziewczyny tak na nich lecą. Kowboj to po prostu mężczyzna na tyle głupi, że dla pieniędzy ugania się za bykami i krowami i ujeżdża dzikie konie. No i patrzy, jak te wszystkie kobiety... – Potrząsnął głową, jakby nie mógł dać wiary, dlaczego one to robią. – Nawet moja obrączka żadnej nie zniechęcała...

Wyciągnął ku niej lewą dłoń, znacząco obracając obrączkę na palcu. Meg odruchowo dotknęła trzeciego palca swojej lewej dłoni i nagle cichutko krzyknęła. Przecież wyrzuciła obrączkę! Dosłownie wyrzuciła. Przerażona spojrzała na Jesse'a.

Jesse wyjął z kieszeni obrączkę Meg, ujął jej dłoń i spojrzał w oczy żony pytająco.

– Powiedz, że mi wierzysz – poprosił nieśmiało.

– Wierzę ci – odparła.

Gdy wkładał obrączkę na jej palec, pomyślała, że właściwie to zawsze mu wierzyła, ale padła ofiarą własnego oślego uporu, takiego samego, jaki cechował Jesse'a.

– Wiesz co, myliłem się co do wielu rzeczy – powiedział. –

Kiedy wyjechałaś przed pięciu laty, wiedziałem, że wróciłabyś, gdybym ci powiedział, że cierpię. Nie chciałem ci tego powiedzieć, ponieważ nie chciałem twojej litości.

Nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

– Nie miałem racji, bo chcę twojego powrotu w każdych okolicznościach, pod każdym pretekstem. – A potem powiedział coś, co Meg od dawna tak bardzo chciała usłyszeć: – Potrzebuję cię, Meg! Nie chcę więcej żyć bez ciebie.

Objęła go obiema rękami za szyję i poddała się magii chwili. Była tam, gdzie powinna – w ramionach jedyne go na świecie człowieka, którego każdy dotyk sprawiał, że jawiły się jej wybuchające race sztucznych ogni.

Dostrzegła na poły przytomnie, że oboje są przedmiotem zainteresowania najbliższego otoczenia – zarówno obsługi jak i pasażerów. Poczowała ogień na twarzy, ale bardziej z dumy niż ze wstydu. Odchyliła do tyłu głowę, aby spojrzeć na twarz Jesse'a i powiedziała:

– Kocham cię i wreszcie wiem na pewno, że i ty mnie kochasz.

– Trafiłaś w dziesiątkę! Chodźmy stąd, kochanie! – Uśmiech radości rozjaśnił jego twarz.

– Następnym! – obwieściła stewardesa. – Zaczekaj chwilę. Zaczekaj! – Rzuciła okiem na stanowisko obsługi chcąc się wyswobodzić z uchwytu Jesse'a. – Jeszcze muszę...

Patrzył tępo. Wydawał się zupełnie ogluszony. Raz widziała taki wyraz na jego twarzy, kiedy kopnął go koń.

– Jeśli mówisz, że mnie kochasz, to po co znowu stajesz w tej kolejce? – spytał.

Meg nic nie mówiąc pomaszerowała do lady kładąc na niej wymięty bilet.

– Chciałabym otrzymać zwrot pieniędzy za ten bilet –

powiedziała na tyle głośno, by usłyszał nie tylko Jesse, ale wszyscy dookoła.

Z szerokim uśmiechem triumfu obróciła się do swej małej widowni. Spoglądając na Jesse'a kusząco, niczym wytrawny wamp, skinęła na niego.

Podszedł jak we śnie. Poglaskała jego policzek.

– Od pół godziny nie dajesz mi skończyć zdania. Od samego początku chciałam ci powiedzieć, że chodzi tylko o zwrot pieniędzy za bilet. Nie jadę do żadnego Bostonu. Jadę z tobą.

Jesse pochwyił ją w ramiona, wirując w szalonym tańcu radości. Oboje wybuchnęli śmiechem.

Postawił ją na ziemi w chwili, gdy ogłoszono, że samolot do Bostonu czeka już na pasażerów. Stewardesa z uśmiechem wystukiwała na klawiaturze komputera polecenie skasowania biletu. Oddając pieniądze powiedziała:

– Szczęśliwego lądowania. – A po chwili surowo:

– Następny.

Jesse chwycił Meg za rękę, przeprosił pasażerów i pociągnął ją do wyjścia. Sadził tak olbrzymimi susami, że musiała za nim prawie biec.

– Oddałeś furgonetkę Joemu Bobowi – powiedziała zdyszana. – Jak wrócimy do domu?

– Dziś nie wracamy. Może jutro. A w ogóle będziemy się martwić powrotem, kiedy nadejdzie czas.

– Ale przecież...

– Nie dyskutuj! – powiedział Jesse ściskając jej dłoń. – I nie martw się. Do Menger weźmiemy taksówkę.

– Co to jest Menger?

Stanął. Spoglądał na nią z rozbawioną, szczęśliwą twarzą chłopca, który szykuje komuś psikusa.

– Menger, to żadne „to”. To jest hotel w San Antonio. Moja koncepcja chwilowego raju. Noc w hotelu z widokiem na Alamo, a ty zapewniasz sztuczne ognie.

– Trafiłeś w dziesiątkę – powtórzyła jego ulubione powiedzenie.

Następnego dnia rano zatelefonowali z hotelu do Randy’ego. Meg chciała jako pierwsza przekazać synowi dobre wieści, ale kiedy nadeszła ta chwila, gardło miała tak ściśnięte wzruszeniem, że tylko się przywitała i powiedziała: – Ojciec ma ci coś do powiedzenia. – Oddała słuchawkę Jesse’owi.

Sama podeszła do okna i wyjrzała na plac Alamo. Historyczny dom misyjny w całej swojej krasie, czyściutko wybielony, odbijał poranne słońce. Po raz pierwszy pomyślała o tym budynku jak o symbolu Teksasu. Duch niezłomności... Podobny gorzał w sercu Jesse’a.

– Tak, to prawda – słyszała głos Jesse’a rozmawiającego z Randym. – Nam też jest ciebie bardzo brak. – Uśmiechał się czule. – Chyba za dwa dni...

Twoja matka i ja musimy jeszcze... pozłatwiać kilka spraw...

Mrugnął porozumiewawczo do Meg, która poczerwieniała po czubki włosów.

– Przykro mi, synku – mówił Jesse dalej – ...ale to jeszcze tylko parę dni. Musisz być cierpliwy. Wynagrodzę ci to, kiedy się zobaczymy. A tym razem spotkamy się wszyscy: mama, ja i ty. I już będziemy zawsze razem. – Potem słuchał uważnie przez pół minuty, powiedział „cześć” i odłożył słuchawkę.

– No i co powiedział Randy? – Meg podeszła do męża i objęła go czule oparłszy głowę o jego pierś.

Jesse mocno ją przytulił.

– Powiedział: trafiłeś w dziesiątkę, tato!

– Bo i trafiłeś – odparła.

– Meg, jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę wyjaśnić. I chcę być pewien, że rozumiałaś.

– Co takiego? – Bojaźń skryła za zamkniętymi powiekami. – Słucham, mów.

– Thom T. wcale mnie nie zaszantażował, żebym tu przyjechał z powodu Randy’ego. Bo tak myślałaś, prawda? Że przyjechałem wyłącznie z tego powodu.

– No tak... – Bolało ją przyznanie się do tego.

– To nie był ten powód. Gdybym był zainteresowany wyłącznie Randym, to wystąpiłbym do sądu o prawa rodzicielskie.

– Rozważałaś taką możliwość? – Była przerażona. – Myślałem o tym, choć nie brałem pod uwagę takiej ewentualności. Wiesz, z czego zdałem sobie sprawę?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Już wtedy zdałem sobie sprawę, że jadę tu głównie ze względu na ciebie. Chciałem walczyć o nas dwoje. – Zacerpnął głęboko powietrza. – Kocham naszego syna, ale kocham również ciebie. Choćby Thom T. przyłożył mi pistolet do głowy, nie przyjechałbym, gdyby nie chodziło mi właśnie o ciebie. I wiesz, co myślę? Że ty również dlatego przyjechałaś.